NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 6 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7 Nr TEL 479

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 7 sierpnia 1909. Nr. 32.

Rewolucya w Hiszpanii.

(Treść na str. 2).



Nr. 32. „Nowości illustrowanych" zawiera: Podbój powietrza. — Przed wycieczką czeską. — Groźny wybuch w Krakowie. — Strzelanie gołębi w locie. — Zgon poety-żołnierza. — Polskie szkoły na kresach wschodnich. — Jubileusz uniwersytetu lipskiego. — Nasi przyjaciele we Francyi. — Najmłodszy panujący. — Obchód narodowy w Krynicy.

Rewolucya w Hiszpanii.

Kraj tak bogato pod każdym względem uposażony, jak Hiszpania, od lat stu podlega ciągłym wstrząśnieniom, które z jednej strony osłabiają je-



Rewolucya w Hiszpanii: Król Alfons XIII.

go powagę wobec zagranicy, a z drugiej — sprowadzają ruinę ekonomiczną na wewnątrz. Ostatnich lat dwadzieścia upłynęło w Hiszpanii dość spokojnie. Królowa-regentka Marya Krystyna, siostra naszego przyjaciela, arcyksięcia Karola Stefana z Żywca, zdołała swym taktem i energią wyrobić sobie wielką popularność u swoich poddanych. Król-pogrobowiec, Alfons XIII., także cieszył się miłością Hiszpanów aż do chwili, gdy przed kilku tygodniami wybuchły zatargi w Afryce północnej z tubylcami w okolicach Melilli na wybrzeżu zwanem Er-Rif.

Początkowo nie przywiązywano większej wagi do tych zatargów, bo zdarzały się one już nieraz od czasów, gdy tzw. *presidios* hiszpańskie istnieją na wybrzeżu marokkańskiem. Tymczasem sprawa przybrała zupełnie inny obrót. Berberowie, najprawdopodobniej wspierani przez Niemców, którzy nie mogą przeboleć swej porażki na konferencyi w Algeciras, zabrali się tak ostro do Hiszpanów, że ci musieli wysłać cały korpus wojska dla obrony Melilli.

Konieczna w takim razie mobilizacya dała hasło do rozruchów na wielu punktach Hiszpanii, a szczególniej w Katalonii, która do dziś dnia żywi uczucia separatystyczne względem reszty monarchii hiszpańskiej. W Barcelonie, stolicy prowincyi katalońskiej, przyszło do formalnej rewolucyi. Stawiano tam barykady, które dopiero pod silnym ogniem artyleryi się poddały, podpalano klasztory, budynki rządowe, mordowano po ulicach pojedynczych żołnierzy i żandarmów, rabowano sklepy itd.

Wprawdzie teraz ruch rewolucyjny zdaje się być stłumiony, jednakże stanowisko dynastyi jest mocno zachwiane, gdyż Alfons XIII. w danej chwili nie okazał potrzebnej energii. Karliści zaś, o których sądzono, że po śmierci Don Carlosa przestaną istnieć, jako partya polityczna, znów wypłynęli na powierzchnię. Don Jaime, syn zmarłego pretendenta, miał już — jak donoszą dzienniki — wyjechać do



Rewolucya w Hiszpanii: Obóz Hiszpanów pod Melillą.

północnej Hiszpanii, aby tam wywołać na swoją rękę rewolucyę, nie mającą nic wspólnego z rewolucyą w Barcelonie.

* * *

Nasza rycina tytułowa przedstawia jeden z dramatycznych momentów zdobycia barykad w Barcelonie przez wojska rządowe. Na innych oglądamy portrety króla Alfonsa XIII. i generała Marina, głównodowodzącego w Melilli. Dalej zaś udało się nam dostać interesujące zdjęcia wprost z placu boju. Pierwsze przedstawia obóz hiszpański pod Melillą, a drugie przenoszenie rannego żołnierza do ambulansu.



Rewolucya w Hiszpanii: Przeniesienie zranionego żołnierza do ambulansu.



Rewolucya w Hiszpanii: Generał Marina, naczelny wódz hiszpański w Melilli.

Podbój powietrza.

Dawno nie miał świat cały tak wielkiej sensacyi, jak obecnie z powodu pomyślnego przelotu francuskiego aeronauty L. Blériota przez kanał La Manche.

A jest to o tyle charakterystyczniejsze, że ani czas, jakiego Blériot potrzebował do odbycia drogi nadmorskiej, ani przestrzeń, jaką w swym aeroplanie przeleciał, nie stanowią rekordu w właściwem tego słowa znaczeniu, bo zarówno sam Blériot jak i inni aeronauci przelatywali dłuższe przestrzenie i przez czas dłuższy utrzymywali się w powietrzu.

Punkt ciężkości sensacyi tej podróży leży gdzieindziej. W tem mianowicie, że podróż Blériota była pierwszą próbą stworzenia nowej drogi komunikacyjnej między Francyą a Anglią, a to drogi napowietrznej, oraz że ma doniosłe znaczenie polityczne, doniosłe zwłaszcza dla Anglii.

Ze względu na olbrzymie zainteresowanie podróżą Blériota, warto podać szczegółowy opis aeroplanu, na którym on przeprawiał się ponad kanałem La Manche. Aeroplan ten jest monoplanem, to znaczy maszyną do latania o jednej płaszczyźnie, w przeciwieństwie do biplanów, używanych przez innych aeronautów, n. p. braci Wrightów. Monoplan Blériota ma rozpiętość 7·8 metra, a powierzchnię lotu o 14 metrach kwadratowych. Motor deptakowy o 3 cylindrach, chłodzony powietrzem, posiada siłę 25 koni, a waży 60 kg. Drewniana śruba integralna posiada średnicę wynoszącą 2·10 m.; śruba ta może czynić 1600 do 1700 obrotów na minutę. Tak zwany „slip", czyli strata siły przy tarciu powietrza, wynosi 20%. Waga całego monoplanu wraz z kierownikiem i zapasem benzyny, wynosi 300 kgr. Ważną zaletą monoplanu Blériota jest to, iż skrzydła są giętkie, nie sztywne i że można je zwijać.

Wspominaliśmy już poprzednio o entuzyazmie, z jakim powitano znakomitego aeronautę zarówno w Dovrze, zaraz po wylądowaniu, jak następnie w Lon-

dynie. Anglicy, choć sukces Francuza był im może niezbyt miły, okazali śmiałemu aeronaucie wielką serdeczność a pierwsze chwile jego pobytu na ziemi angielskiej były szeregiem uroczystych owacyi. Wzięła w nich udział także żona Blériota, która przybyła do Dovru kontrtorpedowcem zaraz po wylądowaniu męża. Przywitanie się małżonków było bardzo serdeczne. Uroczyście wystąpiły też władze miejskie w Dovrze, a naczelnik miasta powitał Blériota przemówieniem i wyraził radość, że miastu temu przypadła tak zaszczytna rola.

Zaraz po przybyciu z Dovru do Londynu otrzymał Blériot wyznaczoną przez redakcyę dziennika *„Daily Mail"* nagrodę honorową w postaci wspaniałego puharu oraz portfel z 1000 funtów szterlingów, t. j. około 25.000 kor. Jedno z naszych zdjęć, dziś zamieszczonych, przedstawia właśnie Blériota z tą nagrodą.

Reszta zdjęć przedstawia aeroplan Bleriota w czasie podróży napowietrznej, powitanie przez przedstawicieli miasta Dovru oraz scenę powitania się małżonków Blériotów.

Jak zaznaczyliśmy wyżej, wzlot Blériota posiada olbrzymie znaczenie i kto wie, czy nie sprowadzi zmian zasadniczych nietylko w wojskowości, ale i w stosunkach komunikacyjnych całego świata. Aczkolwiek Zeppelin swoim balonem o „sztywnym systemie" zdobył rezultaty znakomite, jednakowoż Blériot swym monoplanem pobił go, ponieważ zbudowanie monoplanu kosztuje o wiele mniej, niż balonu Zeppelina, a wreszcie on się puścił ponad morze, na co Niemiec się nie zdobył. Historya zaś i doświadczenie uczą nas, że świat należy do odważnych.

Przed wycieczką czeską.

Za kilka dni powita Kraków w swych murach miłych gości z nad Wełtawy. Z górą stu Czechów, wśród nich cały szereg wybitnych osobistości, przybędzie w poniedziałek następnego tygodnia do Krakowa, aby zwiedzić prastarą stolicę Polski, a następnie uda się w dalszą drogę do Częstochowy i do Warszawy.

Wycieczkę czeską prowadzić będzie burmistrz Pragi, dr. Karol Grosz, a że wśród uczestników wycieczki będzie — jak wspomnieliśmy — sporo wybitnych Czechów, więc i przyjęcie ich na ziemi polskiej musi mieć charakter nietylko uroczysty, ale do pewnego stopnia oficyalny.

Nic dziwnego też, że komitet obywatelski w Krakowie, który zawiązał się celem powitania i ugoszczenia przedstawicieli bratniego narodu, a którego przewodniczącym jest wiceprezydent miasta dr. Henryk Szarski, krząta się gorliwie około poruczonej sobie sprawy i z wielką gorliwością pracuje nad ułożeniem odpowiedniego programu.

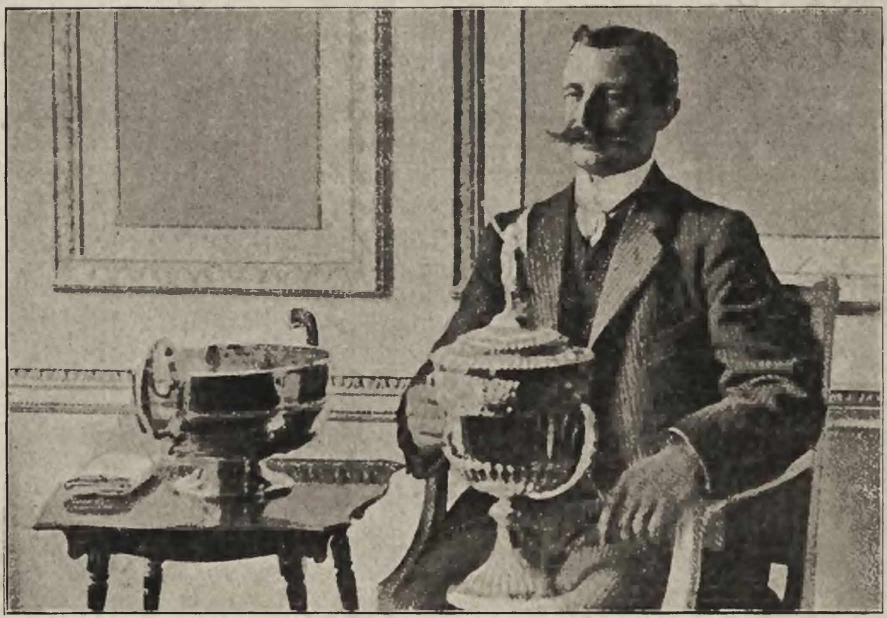
Ilekroć Polacy urządzali wycieczki do Czech, a było ich dużo, zwłaszcza w ubiegłym roku w czasie wystawy jubileuszowej w Pradze, Czesi witali nas bardzo serdecznie i przyjmowali z niezmierną gościnnością. Słusznie więc czyni się przygotowania, aby pobratymcy nasi wywieźli z Krakowa jak najmilsze wspomnienie. Całe społeczeństwo polskie powinno wesprzeć czynnie usiłowania komitetu krakowskiego i starać się o to, by przyjęcie czeskiej wycieczki wypadło jak najwspanialej.

Wycieczka zabawi w Krakowie kilka dni. W program jej prócz zwiedzenia osobliwości naszego miasta wchodzi i podróż do Wieliczki, celem obejrzenia tamtejszych kopalń soli. W czasie zjazdu, który poprzedza rocznicę Grunwaldu, omówione będą zapewne i sprawy przemysłowe i handlowe, z powodu bowiem bojkotu towarów pruskich Czesi, którzy uprzemysłowienie swego kraju doprowadzili do wysokiego poziomu, spodziewają się między Polakami znaleść nowe rynki zbytu i rugować pruską tandetę.

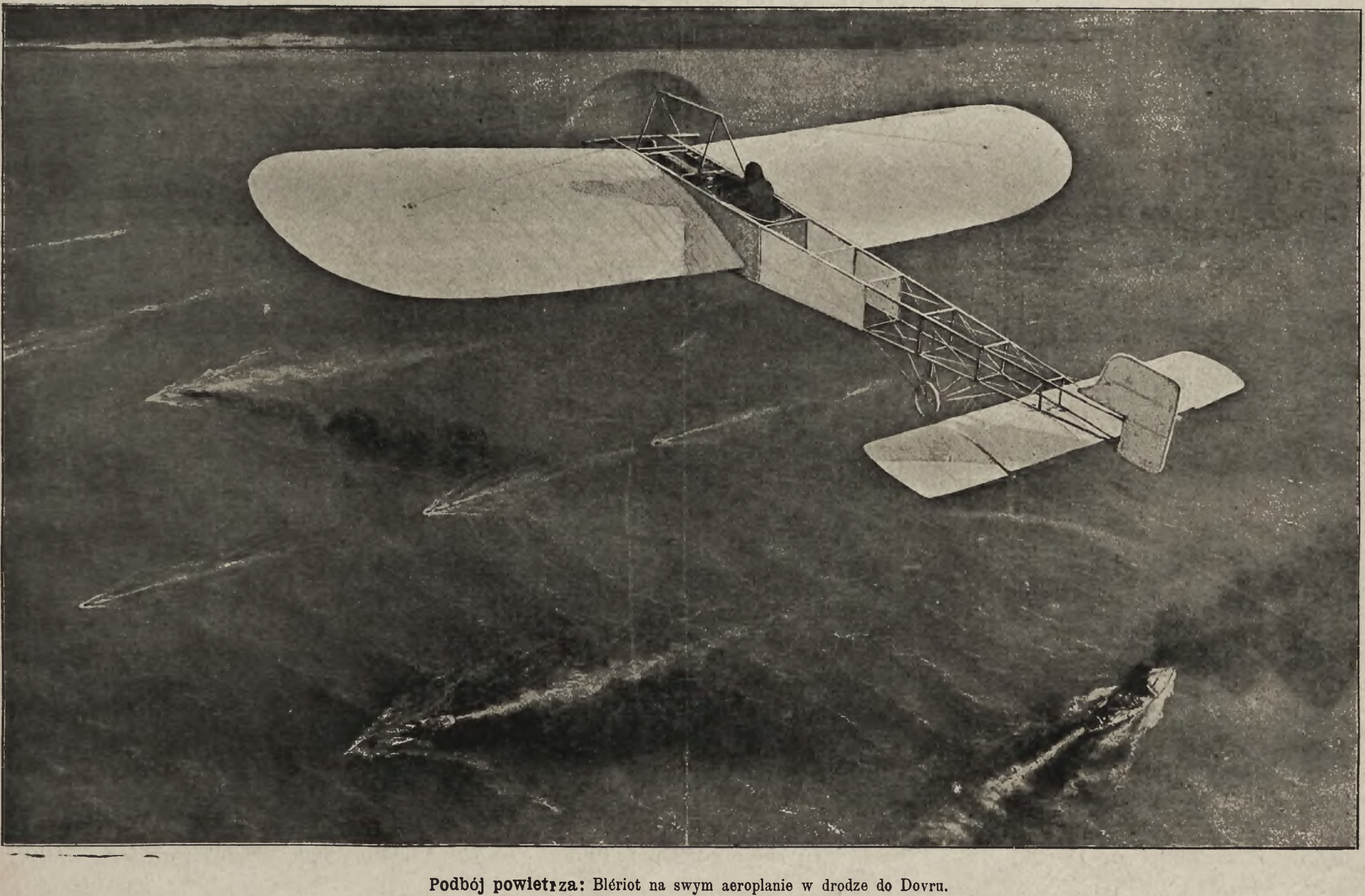
Z okazyi tej wycieczki zamieszczamy dziś por-



Podbój powietrza: Powitanie Blériota w Dovrze przez władze miejskie.



Podbój powietrza: Blériot, trzymajacy w ręku puhar, ofiarowany przez dziennik „Daily Mail"



Podbój powietrza: Blériot na swym aeroplanie w drodze do Dovru.



Podbój powietrza: Przywitanie się L. Blériota z żoną.



Przed wycieczką czeską: Wiceprezydent m. Krakowa, dr. Henryk Szarski, prezes komitetu krakowskiego.

tret dra Karola Grosza, który wycieczkę prowadzi i wiceprezydenta dra Szarskiego, przewodniczącego komitetu krakowskiego.

Sport w marynarce angielskiej.

Wiek XIX dał początek w Anglii wszelkiego rodzaju sportom, między którymi ślizganie się na łyżwach z kółkami — *skating-rink* — w latach czterdziestych tegoż wieku był z wielkim zapałem upra-



Przed wycieczką czeską: Burmistrz Pragi dr. Karol Grosz.

wiany nietylko w Anglii, ale i we Francyi. Później ten rodzaj zabawy poszedł w zapomnienie, ale że ludzie lubią powracać do rzeczy zapomnianych, więc i *skating-rink* znów wszedł w modę.

W Paryżu, Londynie i Berlinie pourządzano odpowiednie tory, na których publiczność, żądna zabawy, może, nawet w czasie sierpniowych upałów, używać przyjemności ślizgawki, chociaż nie na łyżwach. Zabawa ta jest bardzo niebezpieczna, bo zależy w daleko większym stopniu od dobroci przyrządu umocowanego na nogach, niż łyżwy, a także od toru, na którym się odbywa.

Ludzie wyjątkowo zgrabni i silni dochodzą w *skating-rink'u* do bardzo znakomitych rezultatów, ale niebezpieczeństwo grozi im na każdem posunięciu się po nierównej powierzchni, podczas gdy lód gładki, chociaż tak niebezpiecznie wygląda, o wiele mniej życiu i zdrowiu ludzkiemu zagraża. Ale i o tem nie trzeba zapominać, że właśnie każda trudność, każde niebezpieczeństwo mają urok dla siebie pociągający.

Tem więcej interesującą jest nasza rycina, która przedstawia marynarzy angielskich, używających wzmiankowanego sportu na pokładzie wojennego statku. Pokład taki wcale nie jest podobny do torów cementowanych, pomimo tego jednak wypadki nieszczęśliwe zdarzają się bardzo rzadko. Dodajmy do tego, że marynarze jeżdżą na łyżwach z kółkami podczas tego, gdy statek nawet przy zupełnie spokojnem morzu odczuwać musi ruchy fal morskich.

Podczas ostatniego wielkiego przeglądu floty przy ujściu Tamizy, produkowali się w tym rodzaju sportu marynarze angielscy, a ponieważ publiczność była w pewnych godzinach dopuszczona do zwiedzania statków, przeto entuzyazm jej doszedł do zenitu. Każdy Anglik dumny jest ze swych marynarzy, którzy są uosobieniem potęgi Wielkiej Brytanii nad morzami całego świata.



Sport w marynarce angielskiej: Oficerowie i marynarze ślizgający się na łyżwach z kółkami po pokładzie okrętu.

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

32 (Ciąg dalszy).

— Niech pani na mnie popatrzy, rzekł stanowczo, zdaje mi się, że panią znam.

I swym przenikliwym, ostrym wzrokiem badał zasępioną twarz *nurse*. Odpowiedziała z pozornym spokojem:

— Dziwi mnie to, gdyż ja pana nie znam.

— Niech pani przyjrzy mi się lepiej.

Nagle Plumpish zmienił się: zrzucił jakby maskę z twarzy pozory młodości, przybranej jedynie dla doktora Cruxa i stał się odrazu innym człowiekiem, z którym pani Bock musiała się niegdyś spotkać w przykrych okolicznościach, gdyż na widok jego pobladła i wyszeptała, cofając się w tył:

— Mister Cockley!

— Ja sam, Saro Jarvis... Pani przybrała nową postać?

— Oh! litości, litości, mister Cockley... pan mnie nie zgubi?...

— Saro Jarvis... Pani potrafiła zgrabnie uciec z pod sznurka, który już miał zacisnąć się na szyi pani; czy pani wie, że dotąd pozostajesz pod zarzutem morderstwa na osobie swej pracodawczyni, mistress Norman?

— Litości, mister Cockley...

— Dobrze, proszę się uspokoić... Musimy porozmawiać. Kiedy pani stąd wychodzi?

— Stąd? od piątej do siódmej w czwartki i od dziewiątej do piątej w niedziele.

— Bardzo dobrze, a więc dzisiaj wieczorem o szóstej: Electric-Hotel, pokój 7. Będzie pani?

— Tak, mister Cockley... Niech pan mnie nie gubi!..

Wrócił doktór Crux. Cockley stał się znowu Plumpishem, młodym Amerykaninem, doktorem z Montreal.

— Tamtą już zabrano, rzekł Crux... Jeszcze z pół roku będzie zbierała swoje kawałki, zanim wyobrazi sobie, że już cała się skleiła. Czy pan da wiarę, że ta chora uważa się za karafkę kryształową, wypełnioną wodą. Ale chodźmy już doktorze, pani Bock, proszę pokazać panu doktorowi Plumpish pawilon swej chorej.

Nachylając się do ucha udanego doktora, dodał zniżonym głosem:

— Bardzo wielka dama, wyższa arystokracja, markiza Moraillles, manja prześladowcza.

XXIX.

TRUDNE OCALENIE.

Podczas gdy Cockley z takim sprytem wziął się do działania, pani Seymour i Joanna również nie ustawały w swej trosce o przyjaciółkę. Przedewszystkiem udały się do adwokata Corbe. Był to jeden z najsławniejszych mecenasów, przywódca partji republikańskiej, kilkakrotny minister. Przyjął je z wielką uprzejmością, należną ich położeniu i przyjaźni, jaką był związany od lat dawnych z panią Seymour. Siedząc w wielkim, skórzanym fotelu przed ogromnem biurkiem, zasłanem stosami najrozmaitszych papierów, słuchał uważnie ich opowiadania.

Wysoki, szczupły z siwiejącymi włosami i faworytami, o ostrym nosie, żywych oczach i ruchliwej, inteligentnej twarzy, w odpowiedziach swoich nie dawał nadziei swym klijentkom.

— Nie mogę wydać sądu o stanie umysłowym markizy Morailles. Jest to rzecz nadzwyczaj skomplikowana, tak iż specjaliści nawet często się w tym względzie mylą. Wydaje mi się trudnem, by nie powiedzieć niemożliwem, przypuszczenie, iż jej stan nie dał markizowi żadnego pretekstu, choćby tylko pozornego, do jej internowania.

Na ruch protestu pani Le Chars dodał:

— Pospieszam przyznać, iż te symptomaty chorobliwe mogły zostać umyślnie przecenione. Zgodzić się można także na to, iż pan Morailles kierował się tylko względami osobistymi, nawet zemstą, mimo to wszystko jednak pozostajemy bezbronni. W istocie zaś on nic innego nie uczynił, jak tylko użył, a może, jeśli panie wolą, nadużył prawa, które mu przysługiwało. Również i lekarze zachowali się w granicach swych obowiązków.

— Jakież coś podobnego może się stać? — zapytała pani Symour pełna oburzenia.

— Przypuśćmy, iż mąż od dłuższego czasu pod daje jednemu lub kilku lekarzom myśl, iż żona jego jest chorą, przypuśćmy, iż pewne podniecenie nerwowe zdaje się usprawiedliwiać te insynuacje, to lekarz, aljenista zwłaszcza, który we wszystkiem dopatruje się zboczeń umysłowych, zaopiniuje, iż konieczną jest kuracja w domu z drowia.

— Czyż doktór Saffroy i Crux są zabezpieczeni od najmniejszego podejrzenia sprzedajności? — odezwała się Joanna.

— Jakto, zaprotestowała pani Symour, więc w waszej Francji, którą głosicie ojczyzną wolności, kolebką wzniosłych ideałów, można zamykać bez sądu ludzi niewinnych? Czyż istnieją więzienia, w których lekarze są stróżami? Jakiż to przywilej im nadano?

Adwokat Corbe rozłożył ręce na znak swej bezsilności i rzekł:

— Zupełnie jestem zdania pani. Prawo o chorych umysłowych, które wiele wybitniejszych umysłów w Izbie chce zmienić, jest bardzo zacofane. Niech pani tylko pomyśli, że pochodzi ono z roku 1838, z epoki, w której zakres umiejętności patologicznych i psychicznych był bardzo ograniczony. Według tego prawa najprostsze świadectwo, wystawione przez lekarza i uznające, iż dana osoba cierpi na pomieszanie zmysłów, wystarcza do umieszczenia chorego w domu obłąkanych.

— Cóż więc czynić, przecież musi być jakaś rada? — zawołała Joanna, nie mogąca panować nad swem oburzeniem.

— Na razie nie można nic uczynić. Wszcząć proces? Przegra go pani z pewnością. Świadectwo doktora będzie tu wystarczającem: stwierdzi ono, że pani Morailles jest chora, więc dla prawa isotnie ona jest chorą.

— Ależ to straszne! to haniebne! — powtarzała pani Seymour. Więc mamy opuścić nieszczęśliwą przyjaciółkę?

— Tego nie mówię — odpowiedział mecenas. Sądzę, iż trzeba tylko cierpliwości. Przedewszystkiem stan zdrowia markizy może się poprawić i wtedy sami lekarze nie zechcą jej trzymać w zakładzie.

— O ile są uczciwi... szepnęła Joanna.

— Uczciwi czy nie, ich własny interes weźmie górę nad względami pieniężnymi. By streścić się, powiem tylko, iż nie należy przyspieszać wypadków. Co zaś do wygód, to panie mogą być spokojne, gdyż w zakładzie, postawionym na tak wysokiej stopie, niczego jej nie może brakować.

— Ależ zamknięcie przymusowe jest najstraszniejsze, nalegała Joanna. Czyż nie można rozbić drzwi tego więzienia? Byłyśmy obie, lecz oddzielnie każda, u doktora Cruxa, by widzieć się z Aurorą, lecz odpowiedział nam, że ona sobie tego nie życzy. A przecież to jest kłamstwo!

— Niestety, jest u siebie panem, rzekł mecenas.

— A gdybyśmy się zwróciły do policji?

— Mogą panie, pewny jednak jestem, iż odpowiedź będzie taka, jak moja.

— Nikt więc nie może dostać się do tej nieszczęśliwej kobiety, niewinnie prześladowanej?

— Owszem, oprócz prokuratora inspektorzy lekarscy, którzy co pół roku zwiedzają podobne zakłady. Pani przyjaciółka może zażądać ich wizyty.

— Jakże może tego dokonać? Przecież jej stróże nie spełnią takiego życzenia.

Mecenas pokiwał powątpiewająco głową:

— Zresztą podobne reklamacje, skargi, nie odnoszą pożądanego skutku, wydają się one bowiem podejrzanemi, pochodzącemi od nieuleczalnych chorych.

— Więc tylko tyle może nam pan powiedzieć — rzekła pani Seymour — pan, który mnie zna od lat dwudziestu, najsławniejszy adwokat?

— Proszę nie wątpić, że chcę być użytecznym. Mogę nawet widzieć się z prefektem policji, żadnych jednak nie daję nadziei.

— A przypuśćmy, odezwała się Joanna, że uda nam się wyrwać ją z tego więzienia?

— Oh! wtedy sprawa będzie poważną tak dla niej, jak i dla pań.

Na żądanie doktora Cruxa policja odszuka panią Morailles i odeśle ją do zakładu, gdyż osoba uciekająca z domu zdrowia, już tem samem składa dowód swego pomięszania.

— Ależ to wstrętne! — rzekła Joanna — więc swoboda osobista...

— Tak, potwierdził mecenas, wiele się o niej u nas rozprawia, lecz istnieją pewne kategorje ludzi, dla których ona nie istnieje.

— Czy nie można złożyć skargi do sądu?

— Można, lecz dużo czasu upłynie, zanim nastąpi jaki wynik, który okaże się z pewnością ujemnym.

I adwokat podniósł się z fotelu.

— Trzeba tylko życzyć, by zdrowie markizy poprawiło się, bo to będzie najpomyślniejsza dla niej okoliczność.

— A jeżeli to uwięzienie przez długi czas złamie jej wolę i ona istotnie oszaleje?

Mecenas wzruszył ramionami i rzekł:

— Spodziewajmy się, że to nie nastąpi.

Joanna i pani Seymour nie uznały się jednak zwyciężonemi. Z powodu nieobecności prefekta poiicji, zostały przyjęte przez jego pomocnika, uprzedzonego już o ich wizycie przez adwokata Corbe.

— Tak, już wiem... oznajmił i uczucie sympatji wyraziło się na jego energicznej twarzy. Sprawa, którą panie uznają za rzadką, jeżeli nie za jedyną, jest bardzo banalną i podobnych mamy bardzo wiele. Niestety, jesteśmy tutaj bezbronni... To tylko mogę uczynić, jeżeli prefekt zgodzi się, iż nakażę bardzo ostrożne śledztwo i przyśpieszę wizytę inspektora lekarskiego w Instytucie w Auteuil.

Po otrzymaniu tej słabej nadziei, obie przyjaciółki oddaliły się.

— Okazuje się, rzekła pani Seymour, iż przysłowie: „pomagaj sobie, a Bóg ci dopoże", jest więcej amerykańskie niż francuskie. Dobrze zrobiłam, iż wtajemniczyłam w tę sprawę Cockleya.

— Dlaczego jednak Wiera nie daje o sobie żadnej wiadomości... zauważyła z niespokojem Joanna. Czy aby dostała mój list?...

— Cockley z pewnością opowie nam dzisiaj coś nowego.

Tymczasem zajechały już do domu, a w godzinę potem przybył Cockley na obiad.

— Jakież nowiny? zapytała pani Seymour.

— Dosyć dobre. Nie widziałem pań od dwóch dni, a pamiętają panie, com wtedy opowiadał? Moje niespodziewane spotkanie z panią Bock, która okazała się dawną moją znajomą, Sarą Jarvis.

— Tak — potwierdziła pani Seymour — która uciekła z Ameryki, oskarżona o zabójstwo swej pani, starej damy.

— *Jes!* Wszystkie okoliczności były przeciw niej. Sama w domu mistress Norman. Rano znaleziono damę zaduszoną, kosztowności zaś, pieniądze i Sara Jarvis ulotniły się.

— Więc była winną?

— Tak sądziłem! Wiedziałem, że już poprzednio była karaną za kradzież. Sam ją wtedy aresztowałem. To jednak, co mi powiedziała w Electric-Hotelu, dokąd przyszła przerażona, sądząc, iż czeka już na nią policja, zachwiało moją pewnością.

— Jakże to można wytłómaczyć?

— Bardzo prosto. Sara Jarvis miała kochanka. Wpuściła go nocą do siebie. Był to bandyta. Zabił śpiącą starą damę i zagrabił jej biżuterję i pieniądze, Sara zaś zagrożona poderżnięciem gardła, jeżeli zawoła o pomoc, pozwoliła mu uciec. Jakiś szalony przestrach sparaliżował ją. Oskarżyć swego kochanka, którego zbrodni była świadkiem, znaczyłoby dla niej to samo, co uznać się za jego wspólniczkę, zwłaszcza po przeszłości z kradzieżą. Żadnego sposobu wykazania swej niewinności. Żadnego *alibi!* Poddała się tylko jednej myśli: uciekać. Miała pewne oszczędności i z niemi ruszyła do Francji. Tutaj podejmowała się różnych zajęć, ale wreszcie została *nurse* u doktora Cruxa.

— Jakież pan ma teraz projekty?

— Korzystać z jej obawy tak długo, dopóki będzie nam potrzebna, a potem powiedzieć jej, że może spokojnie przebywać we Francji. Zostawimy ją w spokoju.

— Do czegóż może być ona potrzebna?

— Do wielu rzeczy. Oddawać listy pani Morailles i wręczać nam jej... aż do dnia...

— Do dnia?

— W którym ułatwi nam porwanie.

— Panie, pan jest genjalny!

— Nie, proszę pani, to tylko szczęśliwe okoliczności, które są opatrznością detektywów.

Drzwi salonu roztworzyły się i ujrzano rozczulający obraz, jak Jack, Made w żałobie i Janina Forster, otaczając panią Mitre, kierowali jej krokami; niewidoma posuwała się sztywno naprzód, wspierając się na młodem pokoleniu.

Skończyła opowiadać im bajki. Był to ostatni wieczór, który spędzała w towarzystwie pani Seymour. Następnego dnia miała udać się do schroniska dla starców, gdzie zajmować będzie skromne lecz zupełnie wygodne mieszkanko i korzystać z wielkiego parku. Dzielna jej służąca, Gertruda, jak o łaskę poprosiła, by ją zatrzymała nadal w służbie, a jej poświęcenie dawało najlepszą rękojmię, iż będzie się troskliwie opiekowała swą panią. Made zaś ma pozostać u pani Seymour, która ją traktowała jak własną córkę. Ninetka od śmierci męża nie dała żadnego znaku życia.

Po obiedzie dzieci poprosiły panią Mitre o nowe opowiadania. W drugim rogu salonu Cockley, siedząc z panią Seymour i Joanną, wyjął powoli z portfelu list i podał go im.

— List Aurory! zawołały radośnie.

Szybko rozdarły kopertę i zaczęły czytać:

„Wybawcie mnie stąd Joanno i droga Jessy, (było to imię pani Seymour) wybawcie mnie jak najprędzej, jeżeli nie chcecie bym oszalała. Zdaje mi się, że już mam zmysły pomieszane. Chciałam opierać się moim dozorcom, mym katom; to zimno straszne... woda lodowata, torturujące prysznice złamały mój opór. Chciałam umrzeć z głodu, powiedzieli, że siłą będą mnie karmili. Ustąpiłam przed gwałtem z obawy, by ręki na mnie nie podnieśli. — Nie mogę tak żyć! Nie mogę nawet umrzeć. Ratujcie mnie przez litość! *Aurora*“.

Joanna otarła łzy z oczu.

— Niech pan przeczyta, czas nagli, przekona się pan.

— Tak, lecz trzeba postępować ostrożnie. Niech panie pozostawią mi czas, bym mógł wzbudzić w doktorze Cruxie zupełne zaufanie.

— Czy nic nie podejrzewa?

— On nic. Ale drugi, ten o sowiej twarzy...

— Doktór Saffroy?

— *Well*... Informował się w poselstwie, czy Plumpish istnieje. Warens, który mnie zna — doskonały chłopiec! — i któremu szepnąłem słowo... pod pretekstem sprawy policyjnej, potwierdził istnienie ojca i syna Plumpishów, nic nie wspominając o mojej identyczności. Saffroy dał się wziąć! *All right!*

— Lecz jak ją wykraść? A potem gdzie ukryć? Będą jej szukali, prawa za sobą nie mamy.

— O! tego to już będziemy mieli dosyć — roześmiał się wesoło Cockley. Teraz trzeba uczynić co innego. Pani — zwrócił się do Joanny — napisze do markizy list i poprosi pana Le Chars o wysłanie go z Wenecji.

— Dlaczego?

— Aby wpoić przekonanie w doktora Cruxa i Saffroya, że pani jest już daleko od Paryża. Pan Morailles dowie się o tem od nich. Również i pani — spojrzał na panią Seymour — napisze do swej przyjaciółki, iż z powodu ważnych interesów musiała wyjechać do Ameryki.

— Lecz te listy?

— Crux przeczyta je i nie odda ich, tego można być pewnym. A panie właśnie dlatego je wyślą, by je przeczytał. Gdy zaś panie zechcą napisać coś w tajemnicy do markizy, polecam się jako posłaniec. Będę dyskretny, pilny i wierny.

— W tej chwili napiszę, a pan wręczy list, zawołała żywo Joanna.

— Jakże my panu jesteśmy wdzięczne, zaczęła dziękować pani Seymour. Lecz czy uda się nam ten zamiar, czy zdołamy ją wyrwać stamtąd?

Cockley podniósł palec do góry i mrużąc oko, rzekł:

— Mam już projekt!

XXX.

OKO W OKO.

Gdy Cocley miał jaki projekt, można było być pewnym, że jest on rozsądny i że go nikomu nie wyjawi. Pani Seymour nie nalegała też, widząc, iż jest zdecydowany zachować go w tajemnicy.

Nigdy doktór Plumpish z Montrealu nie był tak pilnym w instytucie neurologicznym, jak przez cały następny tydzień. Widziano go wszędzie, jak żądny informacji rozpytywał infirmierów, dozorców i *nurse*, rozmawiał z chorymi, a nawet zdołał wywrzeć wpływ na starą damę uważającą się za szklaną, którą przekonał, iż jest ze szkła przepalonego, nie tłukącego się, a zatem nie może się rozbić. Dał sobie radę również z młodym astenikiem, który utrzymywał, iż nie może się wcale ruszać; zaczął mu udzielać lekcji boksowania i takich kilka zadał mu ciosów, iż odrazu go rozruszał. Nawet kapitan Huchssetts taką powziął dla niego sympatję, iż zapewnił go, że nigdy mu nie poderżnie szyi, a nawet zaproponował wspólną ucieczkę po porzedniem zarznięciu obu lekarzy Cruxa i Saffroya. Mieli uciekać na skrzydlatych koniach do Konstantynopola, by uwolnić z pilnie strzeżonego więzienia księżniczkę Dzidzem. Plumpish przystał chętnie na ten projekt, nie zgodził się tylko na masakrowanie obu lekarzy, utrzymując, iż jako lekarz, nie może przyczyniać się do śmierci swych kolegów.

Opiekując się tak wszystkimi chorymi, odwiedzał często i panią Morailles, wręczając jej i przyjmując od niej listy. Pomagała mu w tem pani Bock, ex-Sara Jarvis, którą trzymał w zawieszeniu co do jej losu, utrzymując, iż musi czekać na decyzję Roggersa, głównego szefa policji.

Nieraz miała zamiar uciekać... lecz dokąd? Sterroryzowanej przez Cockleya zdawało się, iż on ją wszędzie odnajdzie. Widząc, jak przebrany za doktora Plumpisha, snuje się bezustannie po całym zakładzie, była pewna, iż bawi tutaj dla rozwikłania jakiejś ciemnej, zagmatwanej sprawy. Nie uszły jej wzroku i względy, jakie okazywał pani Morailles, w następstwie których sama się stała uprzejmą dla chorej, przeczuwając w tem wielką tajemnicę.

Pani Morailles, pokrzepiona dobremi słowami Cockleya, już nie rozpaczała: drżąc z niecierpliwości oczekiwała cudownego ocalenia. Teraz przy najmniejszym szmerze w nocy zrywała się niepewna. Cockley



Szybko rozdarły kopertę i zaczęły czytać.

szepnął jej pewnego dnia jedno słowo: Nadziei! Uwierzyła w nie, przeczuwając swych zbawców w Cockleyu a może i w Wierze Niespow. Joanna musiała pamiętać o tych dwóch hasłach: *Simoni*, *Veronella*, jakie im zostawiła.

Tymczasem Plumpish w dalszym ciągu badał cały zakład. Widziano go w kuchni rozmawiającego wesoło z kucharzem, w mieszkaniu służby, u portyera, w pawilonie Cruxa, z którym grał po mistrzowsku w bilard. Zjednywał sobie coraz bardziej względy lekarza, który oceniał jego oryginalność i wiedzę, gdyż Cockley był w istocie bardzo wykształcony. Udało mu się nawet rozproszyć niedowierzanie Saffroya. Infirmierzy uśmiechali się do niego życzliwie. Pani Bock złagodniała, co przypisywano uczuciu, jakiem zapałało jej serce dla amerykańskiego doktora. Cockley spodobał się wszystkim. Wniósł nowe życie i radość w ten dom smutku i cierpienia. Ułaskawił nawet buldogi, znane ze złośliwości. Aby szczekaniem nie budziły w nocy chorych, doktór Crux przez operację chirurgiczną pozbawił je głosu, stały się one jednak przez to bardziej zażarte i dzikie. Cockley zawsze miał dla nich jakieś przysmaki, mimo to pewnego razu, gdy wrócił po dziewiątej, omal go nie rozszarpały i tylko dzięki szybkiemu zatrzaśnięciu drzwi uszedł cało. Wszyscy mu ufali, przyzwyczajeni do jego skrupulatnego zwiedzania zakładu, nikt też nie zauważył, jak robił odciski zamków, sprawdzał wysokość niektórych okien, liczył ilość kroków do różnych przejść.

Siódmego dnia wziął na bok panią Bock i popatrzył jej prosto w oczy. Zadrżała.

— Mój Boże... Pan chce mnie zgubić!

— Ja — nie. Roggers — tak. Pani zna Roggersa?

— Jakże można go nie znać?... — westchnęła Sara Jarvis, która miała nieraz do czynienia ze sławnym kryminalistą.

— Będzie tutaj jutro.

Zbladła i zadrżała cała.

— Jestem zgubiona,

— Przyszedł mi do głowy dobry projekt. Roggers nie powinien pani widzieć.

— Tak, nie! Pan mnie jemu nie wyda, prawda?

— Ach, pani wie, obowiązek... Nie, może pani uspokoić się... Do tej pory nie ujrzy pani, dopóki nie przekonam go o pani niewinności.

— Och! panie Cockley... Pan mi życie ratuje...

— Ma pani jaką przyjaciółkę, u której mogłaby pani przebyć niewidziana całą dobę?

— Tak, w Menilmontant, u krawcowej.

— Czy ona pewna?

— Najzupełniej.

— Bardzo dobrze. Pani jutro wychodzi?

— Tak, proszę pana, to mój dzień.

— *Well*, pani wyjdzie stad i tak długo nie wróci, dopóki ja nie przybędę do tej przyjaciółki i nie powiem, co Roggers postanowił.

— Wszystko uczynię, co mi pan nakazuje. Lecz moje obowiązki tutaj?

— Zawiadomi pani, żeś zasłabła, proszę tylko nie dawać adresu, by nie chcieli sprawdzać.

— Dobrze mister Cockley. Lecz ja się tak boję!...

— Roggers jest bardzo uparty... Może uda mi się go przekonać. Zobaczymy.

Sara Jarvis otarła łzy z oczu i wyszła w milczeniu. Cockley, spokojny o nią, upewnił się bowiem, iż jest mu najzupełniej posłuszna, zagwizdał wesoło pierwsze zwrotki hymnu amerykańskiego i udał się do doktora Cruxa. Przedtem jeszcze rozdał służbie całego zakładu sowite napiwki na pożegnanie.

— Ależ, drogi kolego, to nie na serjo? — pytał doktór Crux.

— Niestety, jak już poprzednio wspomniałem, muszę skrócić to ciekawe zwiedzanie, oh! interesujące, bardzo! i pożegnać pana. Jadę do Berlina, przepełniony podziwem dla tego zakładu. Prosić chcę tylko, by mi pan ofiarował swoją fotografię i kolegi Saffroya, a także klisze całego zakładu, bym mógł je opublikować w naszych dziennikach illustrowanych. Mój ojciec, *dear sir*, będzie bardzo zadowolony z portretu pięknej i szlachetnej twarzy wielkiego uczonego francuskiego.

Crux, bardzo uradowany tem pochlebstwem, sięgnął do szuflady biurka i wyjął kilka fotografii, w najrozmaitszych pozach.

— Oh! bardzo dobre. Miło patrzeć. Pragnę poświęcić kilka rozdziałów w swej książce o leczeniu umysłowo chorych Instytutowi w Auteuil. Wspomnę, że woda lodowata naprzemian z prysznicami daje znakomite wyniki. Ale niech pan spróbuje także metody Plumpish!... Stosować gimnastykę i wysiłek mięśniowy. Szklana dama niech gra z kapitanem Huchssetts w foot-ball.

— Tak, tak, spróbujemy... — rzekł Crux, rozbawiony tym projektem.

— Proszę mi jeszcze zrobić przyjemność i razem z doktorem Saffroy przyjąć zaproszenie na małą ucztę. Obiad pożegnalny!

— Bardzo chętnie, zgodził się Crux.

— W takim razie zatelefonuję do doktora Saffroya.

I po energicznem shake-hand Plumpish wyszedł, odprowadzony przez Cruxa do przedpokoju, gdzie się minął z mężczyzną o wyniosłej postaci.

— Ach, drogi pan markiz, zawołał Crux, wyciągając rękę do pana Morailles i zwrócił się do Plumpisha:

— A więc do widzenia, drogi kolego!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Strzelanie gołębi w locie.

Do licznych sportów, uprawianych przez szlachtę węgierską, należy też strzelanie gołębi w locie. Sport ten wymaga najdłuższych ćwiczeń. Nieraz całe lata żmudnej pracy nie odnoszą pożądanego skutku, zwłaszcza jeśli dany sportowiec niema bystrego wzroku. A komu przyroda nie odmówiła tego daru, ten musi długiemi ćwiczeniami wyrobić zwinność, która musi dojść do wiele wyższego stopnia, niż w innych grach sportowych.

Zrozumieli to Węgrzy i sportowi temu poświęcają wiele czasu, i nawet tworzą specyalne w tym kierunku organizacye i towarzystwa strzeleckie.

Międzynarodowe zawody w strzelaniu gołębi w locie odbywały się w ostatnich dniach lipca w północno węgierskiej miejscowości kąpielowej, Piszczanach: zawody te, urządzone pod protektoratem właścicieli Piszczan, Erdödy'ch i hrabiny Irmy Migazzi, trwały dwa dni i wywołały żywe zainteresowanie nietylko wśród publiczności kuracyjnej, lecz także w szerokich kołach przyjaciół tego sportu, rekrutujących się po największej części z wysokiej szlachty węgierskiej.

Większa część nagród przypadła w udziale hrabiemu Kazimierzowi Zichy'emu, prezesowi krajowego związku strzelania gołębi w locie — resztę nagród rozdzielono między pierwszorzędnych strzelców, do jakich się zaliczają hr. Władysław Hunyady, hr. Jan Hardegg, hr. Ludwik Karoly i inni.

Wszyscy ci członkowie wspomnianego związku, znani są w całych Węgrzech jako znakomici strzelcy.

Zamieszczamy w dzisiejszym numerze dwa zdjęcia, z których pierwsze przedstawia grono widzów, przeważnie arystokracyę węgierską, a drugie jednego z uczestników, strzelającego do gołębia.

Motocykle na usługach armii.

Wszelkie zdobycze techniki oddaje się teraz w usługi i na rzecz militaryzmu. Między niemi automobile i motocykle zajmują miejsce bardzo poważne, bo pozwalają na przenoszenie się z miejsca na miejsce z taką szybkością, o jakiej jeszcze lat temu kilkanaście nie miano pojęcia i w dodatku nawet na bardzo złych drogach.

W niniejszym numerze podajemy rycinę, na której widać szeregowca z ochotniczego korpusu motocyklistów oraz pierwszego tzw. „komendanta grupy", pozasłużbowego podporucznika dra Emanuela Schönbichlera z Wiednia.

Ci motocykliści wezmą udział w tegorocznych wielkich manewrach na Morawach, a ministeryum wojny spodziewa się, że praktyka wykaże ich wielką pożyteczność na wypadek wojny.

Dotąd istnieje dopiero w jednym korpusie, a mianowicie wiedeńskim, oddział motocyklistów, prawdopodobnem jest jednak, że ministeryum wojny poczyni starania, aby także w obrębie innych korpusów armii austryacko-węgierskiej powstały podobne oddziały.



Motocykl na usługach armii: Dr. Emanuel Schönbichler, komendant grupy motocyklistów; poniżej ochotnik motocyklista.



Strzelanie gołębi w locie: Hr. Jan Meran na chwilę przed strzałem.



Strzelanie gołębi w locie: Grono publiczności na miejscu zabawy. (X) Prezes towarzystwa, zdobywca pierwszej nagrody, hr. Kazimierz Zichy.

Zgon poety-żołnierza.

Współczesna poezya niemiecka utraciła jednego z najwybitniejszych swych przedstawicieli. Zmarł mianowicie znany i ceniony w kołach literackich liryk Detlev bar. Liliencron, autor całego szeregu pięknych utworów poetyckich i prozaicznych.



Zgon poety żołnierza: Detlev bar. Liliencron.

Życie tego zdolnego poety było wielce urozmaicone. Urodzony 1844 r. w Kiel, poświęcił się naprzód służbie wojskowej i jako oficer odbył kampanie w r. 1866 i 1870, w czasie których dwukrotnie był ranny. Wystąpiwszy z armii, żył przez czas jakiś zdala od spraw publicznych, przeważnie podróżując, następnie zaś wstąpił jako urzędnik do służby państwowej. Ale nie na długo.

Bardziej pociągała go literatura i sztuki piękne, wnet też poczęły się pojawiać pierwsze jego utwory. Mimo względnego powodzenia, jakie jego występom na polu literackiem towarzyszyło, stosunki finansowe poety były bardzo ciężkie i ciężka była jego walka o chleb. Mimo to pióro jego zasilało literaturę coraz nowszymi i coraz świetniejszymi utworami, zapewniając wreszcie Liliencronowi nietylko sławę szeroką, ale i środki materyalne. W ostatnich też latach swego życia należał Liliencron do bardzo w całych Niemczech popularnych autorów.

Zmarł w Hamburgu przed kilkunastu dniami.

Praktyczny wynalazek.

Wszystkie wynalazki, odnoszące się do udoskonalenia ruchu pocztowego, spotykają się z wielkiem uznaniem publiczności i chętnie zostają zużytkowane przez rządy wszystkich krajów europejskich. Niestety jednak Austro-Węgry pozostają na tym punkcie zwykle w tyle.

Teraz np. inżynier węgierski, Antoni Fodor, zbudował bardzo praktyczny aparat automatyczny, właściwie skrzynkę pocztową, do odbierania listów poleconych, ale tych skrzynek nie ustawiono ani w Budapeszcie, ani w Wiedniu, natomiast funkcyonują one już w... Paryżu, jak objaśnia załączona rycina.

Zasada automatu inżyniera Fodora polega na tem, że monety, wyrobione z niklu, podlegają działaniu magnesu. Wewnątrz skrzynki pocztowej jest umieszczony silny magnes, który przyciąga do siebie wrzuconą monetę. Następnie zapomocą odpowiedniego mechanizmu list, włożony do skrzynki, zostaje ostemplowany, a nadawca otrzymuje pokwitowanie w ten sposób, jak we wszystkich automatach, których tyle mamy na dworcach kolejowych. Służba pocztowa przychodzi co godzinę i listy wybiera z automatu.

Jest to ogromne ułatwienie dla publiczności i zmniejszenie pracy urzędników pocztowych, zwykle przeciążonych nią tak dobrze u nas, jak i za granicą.



Praktyczny wynalazek: Automatyczna skrzynka pocztowa do odbierania listów poleconych.

Groźny wybuch w Krakowie.

W ubiegłym tygodniu wydarzył się w pralni chemicznej „Tęcza“, mieszczącej się przy ul. św. Sebastyana, groźny wybuch, który na szczęście wyrządził tylko pewne szkody materyalne, nie pociągając za sobą poważniejszych ofiar w ludziach.

Wypadek wydarzył się popołudniu. Wybuchły mianowicie w ścieku kanalowym realności, w której mieści się pralnia, gazy palne, wytwarzające się



Wybuch w Krakowie: Wnętrze jednej z sal pralni „Tęcza“, zniszczonej skutkiem wybuchu.

z odpływów benzynowych. Powodem zaś było wrzucenie płonącej zapałki czy papierosa do miejsca ustępowego, który stoi w bezpośredniej łączności z ściekiem pralni.

Siła wybuchu rozsadziła ścieki kanałowe na dość dużej przestrzeni, bo nietylko w pralni, ale i w paru sąsiednich domach, w szczególności w pobliskiej łaźni rzymskiej. Z wielkim hukiem, który wywołał w całej okolicy panikę, wyleciały w powietrze wielkie odłamy kamiennej posadzki, powypadały z brzękiem szyby w oknach i drzwiach. Ponadto wszczął się pożar. Na szczęście zjawiła się natychmiast straż ogniowa i ugasiła wnet płomienie. Ocaliła też od groźnego niebezpieczeństwa magazyn benzyny, mieszczący się w bezpośredniem sąsiedztwie.

Szkody, wyrządzone wybuchem, są znaczne. Ofiarą wypadku padły dwie osoby. Robotnik, który spowodował wybuch i który zbiegł, bojąc się odpowiedzialności, oraz jedna z robotnic pralni.

Zjazd monarchów.

Nadeszła pora wycieczek monarszych i zjazdów politycznych. Na czele oczywiście — jak zawsze — Wilhelm Podróżnik, który nie mogąc usiedzieć na miejscu, wybrał się na północ w odwiedziny do Norwegii.

Podróż tę odbył na swym znanym jachcie „Hohenzollern“, który zawiózł go naprzód do Bergen. W miejscowości tej zjawił się wnet potem król norweski Haakon, złożył wizytę cesarzowi niemieckiemu a następnie przyjął go na swoim statku, poczem obaj monarchowie wysiedli na ląd i w jednej z miejscowych restauracyi spożyli śniadanie, w czasie którego nie obeszło się oczywiście bez toastów.

Po śniadaniu wrócił król Haakon do swej stolicy, Wilhelm Podróżnik zaś powędrował dalej na swym jachcie.

Najmłodszy panujący.

Nowy szach perski, Ahmed Mirza, którego portret podajemy w niniejszym numerze, wstąpił na „tron pawiowy“ w warunkach dla swej ojczyzny bardzo niekorzystnych. Sam, jak wiadomo, rządzić nie będzie, bo ma dopiero skończonych lat jedenaście, ale i jego regent, Assad-ul-Mulk, trafił na czasy dla Persyi wielce trudne. Z jednej strony Rosya, z drugiej Anglia, a z trzeciej Turcya poglądają pożądliwem okiem na tę krainę, gdzie mieszczą się dotąd niewyzyskane skarby w ziemi, a która z powodu swego położenia geograficznego ma niesłychaną wartość dla państw wymienionych.

Na tem tle rozegrają się niezawodnie zacięte walki między interesowanymi, a jak zwykle, najniewinniejszy padnie ofiarą. Persyę czeka los Polski, jeżeli jej obywatele nie potrafią inaczej się postawić, niż Polacy w XVIII. wieku.

Młody szach płakał, gdy mu oświadczono, że wstępuje na tron. Jest to niedobry *omen*, bo i Stanisław August był bardzo do płaczu skłonny.

Nasi przyjaciele we Francyi.

Budzą się we Francyi od pewnego czasu zamarłe dla Polski sympatye. Odgrywa w tem z pewnością rolę fakt, że sprawa polska, od kilku lat bardziej żywo i bardziej wyraźnie wystąpiła na terenie polityki międzynarodowej. Ale w części — o czem zapominać nam nie wolno — zawdzięczamy to pewnej grupie cudzoziemców, którzy tak drogie niegdyś dla Francyi, imię Polski przypomnieli i ziomkom swoim wskazali postępowanie zgodne z tradycyą dawną a interesem obecnym.

W tej grupie, zbyt licznej, aby wszystkie wymieniać nazwiska, pp. Marius i Ary Leblondowie zasłużyli sobie na szczególne z naszej strony wyróżnienie: oni to, po powrocie z podróży po Polsce, podjęli projekt wystawienia pomnika Adama Mickiewicza w Paryżu, im zawdzięczamy ukonstytuowanie się komitetu Franko Polskiego, założonego w porozumieniu z Biurem prasowem Rady Narodowej, a mającego na celu zbliżenie intelektualne Francyi z Polską. Pp. Leblond'owie rozpoczęli w miesięczniku pn. *Le Correspondent* szereg artykułów p. t. *Les trois Pologne*s, które w roku przyszłym mają wyjść w książce, zatytułowanej *La Pologne sera. Polska będzie* — takie jest hasło, pod jakiem pp. Leblondowie podjęli pracę o nas i naszych sprawach.

Mimo wiek swój młody, autorowie francuscy mają za sobą już przeszłość poważną. Ogłosili kilka tomów z dziedziny krytyki literackiej, między nimi kapitalną rozprawę o Leconte de Lisle'u, o ich współziomku, z wyspy de la Reunion, napisaną na podstawie materyałów nieznanych. Wydali też kilka powieści z życia kolonialnego i francuskiego, powieści zdrowych, pełnych wiary w przyszłość, o głębokim podkładzie ideowym, z dużym odcieniem sentymentalizmu, a jednocześnie napisanych z talentem, pięknym i barwnym językiem.



Zjazd monarchów: Król Norwegii Haakon (1) podczas rozmowy z cesarzem Wilhelmem II (2).

Jubileusz uniwersytetu lipskiego.

W ostatnich dniach lipca obchodził uniwersytet lipski uroczystość pięćsetletniego istnienia. W roku 1409 udzielił papież Aleksander V. zezwolenia na założenie w Lipsku wszechnicy, jak ją wówczas nazywano, *Studium generale*, a założycielami byli landgrafowie Turyngii i margrabiowie Miśni: Fryderyk i Wilhelm. Z biegiem czasu zdobyła sobie *Universitas studii Lipsiensis* pierwszorzędne znaczenie, a dziś pomiędzy uniwersytetami niemieckimi ustępuje pierwszeństwa tylko wszechnicy berlińskiej i monachijskiej.

Już w pierwszym roku istnienia liczył ten zakład 368 immatrykulowanych słuchaczy, dziś liczba ich wzrosła do 4581, ciało profesorskie, które w r. 1580 składało się z 23 członków, dziś ma ich 235.



Najmłodszy panujący: Szach perski Ahmed Mirza.



Nasi przyjaciele we Francyi: Marius i Ary Leblondowie przy pracy.

Pierwotnie jedna ze stolic scholastyki, z czasem otworzyła ona wrota dla humanizmu, który od r. 1520 t. j. od rektoratów Kaspra Bornera i Camerariusa począł sobie zdobywać pole i w lipskiej wszechnicy. Zaprowadzono daleko idące reformy, zamiast panującego dotąd przy obsadzie katedr prawa starszeństwa, wprowadzono w życie system powoływania sił naukowych w miarę ich zasług i użyteczności. Ułożone przez Camerariusa w r. 1559 statuty dopełniły reformy.



Jubileusz uniwersytetu lipskiego: Gmach uniwersytetu w Lipsku.

Odtąd rozwija się uniwersytet coraz piękniej, aż do czasów wojny trzydziestoletniej. W tym okresie daje się zauważyć łatwo zrozumiały upadek, z którego wszechnica rychło się jednak dźwiga i już w początkach XVIII wieku jaśnieje znowu pełnym blaskiem, do szczytu świetności dochodząc w ostatnich latach tegoż stulecia. I XIX wiek był dlań pomyślnym, przybyło wiele nowych katedr, a nazwiska lipskich profesorów niezatartemi głoskami zapisały się w dziejach niemieckiego ruchu umysłowego i literackiego.

Zagraniczni słuchacze na lipskim uniwersytecie silniej są w statystyce reprezentowani, niż na którymkolwiek innym w Niemczech. Stosunek ich procentowy, nie wyłączając Berlina, dochodzi do 8, w Lipsku przechodzi 20. Lipsk posiada nadto instytucyę, która na innych niemieckich uniwersytetach już nie istnieje, mianowicie konwikt, założony w r. 1544 przez rektora Kaspra Bornera.

Na uroczystości jubileuszowe zjechali się przedstawiciele świata naukowego z całych Niemiec i zagranicy, wielu byłych uczniów i profesorów. Uroczystości trwały od 28 do 31 lipca włącznie, a nie zapomniano w czasie nich i o obecnem bożyszczu niemieckiem, hr. Zeppelinie, którego mianowano honorowym doktorem prawa!

Polskie szkoły na wschodnich kresach.

W dziejach uświadomienia narodowego polskiego ludu, zamieszkałego we wschodniej części naszego kraju, doniosłą i zaszczytną rolę odegrało Towarzystwo Szkoły ludowej, którego Koła, rozsiane gęsto po miastach większych i mniejszych, pracują niezmordowanie nad oświatą ludu.

Z pomiędzy tych Kół jedno z pierwszych miejsc zdobyło Koło w Kołomyi, a owoce jego usiłowań i pracy są już dziś imponujące. Dość wspomnieć, że zasługą tego Koła jest założenie w ciągu pięciu ostatnich lat ośmnastu szkół ludowych polskich w powiecie kołomyjskim, z czego piętnaście przeszło już na etat krajowy. Trzy pozostałe utrzymuje dotąd swymi funduszami Koło kołomyjskie. Zaznaczyć zaś trzeba z naciskiem, że przed rozpoczęciem działalności tego Koła nie było w powiecie wspomnianym ani jednej polskiej szkoły. To też dziatwa polska, zmuszona do nauki w szkołach ruskich, wynaradawiała się masowo, nie znając ani języka ojczystego, ani nie umiejąc nawet pacierza po polsku.

Owoce szlachetnej działalności Koła kołomyjskiego powinny być zachętą i bodźcem dla innych Kół galicyjskich, zwłaszcza we wschodniej części kraju, do jaknajgorliwszej pracy na tem polu.



Polskie szkoły na kresach wschodnich: Dziatwa ze szkoły w św. Stanisławie obok Słobódki leśnej. W środku nauczycielka i prezes Koła kołomyjskiego T. S. L., dr. Milewski (X).



Polskie szkoły na kresach wschodnich: Dziatwa ze szkoły w Kamionkach wraz z nauczycielką i delegatami Koła T. S. L. w Kołomyi.

Sztuczne dyamenty.

Jak starożytnych alchemików zajmował problem fabrykacyi złota, tak znów nowocześni chemicy łamią sobie głowy nad sposobem wytwarzania sztucznych dyamentów.

Co do tworzenia się dyamentów w przyrodzie, istnieją rozmaite, dotąd należycie niezbadane hypotezy. Brewster uważa dyament za rodzaj skamieniałej żywicy, Göppert przypuszcza, iż powstanie jego jest wodne. Chancourtois przyjmuje, iż dyament utworzył się w podobny sposób z wyziewów węglowodornych, jak siarka osadza się z wyziewów siarkowodornych. Przy wolnem paleniu się węglowodoru utleniał się wszystek wodór, a nieutleniona część węgla mogła się wydzielić.

Wychodząc z tych zasad, w rozmaity sposób próbowano fabrykować sztuczne dyamenty, otrzymywane jednak okazy nie opłacały się, gdyż koszta produkcyi były zbyt wysokie. Po raz pierwszy problem ten udało się rozwiązać w r. 1880 Hannayowi w Glasgowie, z większem powodzeniem dokonał tego później Moissan w Paryżu. Poddał on węgiel, zawarty w surowcu żelaznym, znacznemu ciśnieniu i bardzo wysokiej temperaturze pieca elektrycznego, otrzymał jednak bardzo drobne kryształki, mikroskopowej zaledwie wielkości.

O próbach Lemoina, które były zwykłem oszustwem i zamiast uznania przyniosły pomysłowemu aferzyście dziesięć lat więzienia, niema i co wspominać. Natomiast wielki rumor wywołały obecnie w Paryżu doświadczenia wicehrabiego de Boisvénu, któremu, jak stwierdzają naoczni świadkowie, miało się udać uzyskanie sztucznych dyamentów. W elektrycznym piecu topił on węglan wapna pod działaniem acetylenu i otrzymał sztuczne kryształki, które jednakowoż są bardzo małe, dochodzą bowiem zaledwie $^{1}/_{3}$ milimetra średnicy. Wicehrabia de Boisvénu przedłożył wyniki swych badań paryskiej Akademii Umiejętności celem wydania o nich opinii, ewentualnie nabycia wynalazku. Ile jest w tem prawdy, dziś jeszcze powiedzieć nie można, w każdym razie francuskie pisma pełne są pochwał dla nowego wynalazcy. Jednakowoż handlarze dyamentów mogą dotąd spać spokojnie, gdyż koszta wyrobu tych sztucznych kamieni nie pozostają wcale w stosunku do ich ognia i wielkości. Zresztą nowo odkryte pola dyamentowe w Afryce będą jeszcze długo dostarczały prawdziwych kamieni szlifierniom amsterdamskim i ludziom, trudniącym się handlem tego najpiękniejszego z pomiędzy kamieni szlachetnych.

Illustracya nasza przedstawia portret wicehrabiego de Boisvénu oraz otrzymane przezeń dyamenty w dziesięciokrotnem powiększeniu, jak to wskazuje umieszczona obok nich skala.

G. DE TERAMOND.

W OBRONIE HONORU.

(TAJEMNICZY NIEZNAJOMY).

9 (Ciąg dalszy).

Oto, co zawierał ten list:

„Panie Inspektorze.
Wczoraj wypadkowo dostał mi się w ręce bilet, który attaché niemiecki wsunął w Komedyi Francuskiej damie z hotelu pod „Nadzieją“.
Odniosłem go jej, sądzę jednak, że treść jego zainteresuje Pana. Przepisałem go:
„Jutro domino niebiesko-żółte będzie miało papiery, a biały zakonnik umówioną sumę“.
Jeżeli może być to panu pożyteczne, przyjdę jutro po nagrodę, jaka mi się należy za tę usługę“.

Podpisu pod listem nie było żadnego.

— Jak wyglądał ten pan? — zapytał inspektor.

Posługacz przypomniał sobie:

— Wysoki piękny mężczyzna... młody jeszcze... czarne wąsy... miał miękki kapelusz i palto z kołnierzem futrzanym...

— To ten tajemniczy zbawca baronowej! — mruknął Lapipe — teraz rozumiem wszystko... był u niej po nagrodę za wczorajszą pomoc jej okazaną i zarazem odniósł jej bilet... ponieważ jednak wie, kto ona jest, chce i tutaj skorzystać... a może to jakiś podejrzany osobnik, który chce odzyskać łaski policyi?... przekonamy się o tem jutro...

Przy słowach tych przeszedł do gabinetu dyrektora.

— Cóż słychać, panie Lapipe?

— Odkryłem całą szajkę szpiegów — odpowiedział inspektor — i jeżeli pan dyrektor pozwoli mi... I opowiedział mu wszystkie wypadki nocne.

— Co więc pan zamierza uczynić?

— Niema najmniejszej wątpliwości, że wszyscy uczestnicy tej bandy naznaczyli sobie na dzisiejszą noc *rendez-vous* na maskaradzie ambasady chińskiej, o której już od miesiąca rozpisują się dzienniki.

— I ja jestem tego zdania.

— Przedsięwezmę wszystkie środki ostrożności i tak pokieruję, iż ja w przebraniu białego zakonnika otrzymam od baronowej plany, attaché zaś niemiecki odda kopertę z pieniędzmi jednemu z mych agentów, który będzie się tam znajdował w dominie niebiesko-żółtem...

— Wspaniała rzecz!... Lecz prawdziwy zakonnik i prawdziwe domino?

— Nie dopuści się zręcznie do ich spotkania, dopóki nie załatwimy się z nimi sami... potem będą już mogli nagadać się z sobą dowoli...

— Byle tylko nie przegapiono czego, panie Lapipe!

— Niech pan dyrektor będzie spokojny... już my się załatwimy z tem zwinnie... zwłaszcza że ma to być mojem ostatniem dziełem.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— To, iż potem poproszę o uwolnienie... żona moja nudzi się w Paryżu... i ja już oddawna pragnę przenieść się na wieś, do swych kur i kaczek...

— O, panie Lapipe — odparł dyrektor — z takim urzędnikiem, jak pan, nigdy nie można się rozstać.

W tym czasie Paweł de Vareilles zacierał radośnie ręce.

— By nie spotkać się z ludźmi, których chce się uniknąć — mówił do siebie — należy tylko poinformować się o godzinie, o której można ich zastać z pewnością... dzięki trzeba złożyć punktualności Lapipa, ani na minutę wcześniej, jak o dziesiątej nie przybywa on do dyrekcyi!... A teraz pomyślmy o Newtonie...

Najwięcej niepokoił go amerykański detektyw. Baronowa miała w nim dzielnego pomocnika i nie ulega najmniejszej wątpliwości, że będzie on nad nią czuwał na balu. Należy więc koniecznie zwrócić jego uwagę na co innego. Lecz jak?

Nagle uderzył się w czoło, przypominając sobie, z jakiego powodu detektyw bawi w Paryżu.

— Jeszcze trochę szczęścia — szepnął — a wszystko pójdzie dobrze...

Tegoż wieczoru w *Figarze*, które detektyw czytywał codziennie w kawiarni Neapolitańskiej, ukazała się następująca wiadomość:

„Policya wpadła nakoniec na ślady zabójcy pani Aesthon, miliarderki z Nowego Jorku, który pod przybranem nazwiskiem bywał w wyższem towarzystwie kolonii cudzoziemskiej. Nie uniknie on pułapki, zastawionej przez inspektora Lapipe, któremu polecono dokonać tego sensacyjnego aresztowania“.

Niepokój, jakiego doznał Newton przy czytaniu tego artykułu, nie uszedł uwagi Pawła de Vareilles, który siedząc przy sąsiednim stoliku, zdawał się być pogrążony w czytaniu gazet.

— Lapipe! — mruczał ze złością detektyw — to on ma otrzymać tę wielką nagrodę... O! tego już za wiele!... Po to przyjechałem z Ameryki, by mi zdmuchnięto sprawę z przed nosa?...

Podniósł się, wrócił szybko do siebie, nie przypuszczając nawet, że jest śledzony przez byłego porucznika. W kwadrans potem rozległ się dzwonek telefonu, którego detektyw nie omieszkał urządzić u siebie zaraz po wprowadzeniu się.

Zdjął słuchawkę i przyłożył ją do ucha.

— Hallo... dyrekcya policyi?... — usłyszał w telefonie.

Chciał już odpowiedzieć przecząco, gdy pomyślał, że nigdy nie należy opuszczać sposobności posłuchania rozmów policyi. Narzucił szybko chustkę do nosa na otwór do mówienia, by nie poznano jego głosu i odrzekł:

— Tak.

— To pan dyrektor?

Newton zawahał się.

— Tak...

— Bardzo źle słychać głos, wydaje się, jakby on dochodził z bardzo daleka.

— Co się stało?

— Zabójca milionerki...

Newton uczuł, że nogi się pod nim uginają. Czyżby wypadek wprowadził go na ślad, którego od tak dawna szuka bez skutku? Zapytał, drżąc cały:

— Pani Aesthon? I co?

— Już go nakryłem...

Krople potu zaczęły spływać po czole detektywa.

— Gdzie?

— Będzie dzisiaj na balu w ambasadzie chińskiej.

Serce Newtona biło coraz silniej.

Z telefonu dochodziło:

— Przebrany za...

W chwili tej głos ucichł; rozmowa została przerwana.

— Hallo!... Hallo!... — wołał z wściekłością. — Hallo!... Proszę nie rozłączać...

Telefon jednak pozostał niemy.

— Osiąść na mieliźnie przed portem! — jęczał detektyw, padając na fotel — nie wykorzystać do końca takiego błędu!... W rozpacz można wpaść!...

Odzyskując jednak swą energię, dodał na pocieszenie siebie:

— Nic nie szkodzi... będę na balu... a jeżeli nie chwycę tego ptaszka przed Lapipem, przeklnę siebie i swą sławę!...

Dzwonek przy drzwiach przerwał te słowa; przyniesiono mu kostyum szeika marokkańskiego, który miał włożyć wieczór.

Tymczasem Paweł de Vareilles wychodził zadowolony z sąsiedniej stacyi telefonicznej, rozmawiając z sobą wesoło:

— Wreszcie uwolniłem się od mego Newtona. Nie będzie on łapał na tej maskaradzie dwóch srok odrazu... chociaż — dodał śmiejąc się — nie złapie on prawdopodobnie żadnej.

X.

Maski i domina.

Bal maskowy w ambasadzie chińskiej zapowiadał się jako jedna z najpiękniejszych zabaw karnawału, całe więc wyższe towarzystwo paryskie i cała kolonia zagraniczna miała być na nim obecna.

Jego Ekscelencya Tchin-Hung-Khon postanowił wystąpić z całym wschodnim przepychem. Najzręczniejsi dekoratorzy, prawdziwi mistrze w swym zawodzie, dokonali istnego arcydzieła.

Salony zamieniono na wnętrza pagod; mniejsze pokoje, obite jedwabiem, przypominały w zupełności mieszkania chińskie; w wielkiej hali, wzniesionej w ogrodzie, odtworzono zakątek letniego pałacu cesarza chińskiego.

Już od godziny dziesiątej wszystkie ulice, wiodące do pałacu ambasady, przepełnione były pojazdami i samochodami. Przy wejściu przeprowadzano surową kontrolę, aby do wnętrza weszli tylko istotnie zaproszeni i niejedna osoba została uprzejmie zatrzymana w przejściu z prośbą, by stwierdziła swą identyczność. Między kontrolorami umieścił Lapipe Touffa i Brisemicha z poleceniem, by odprowadzili do oddzielnego pokoju domino niebiesko-żółte i zatrzymali je tam tak długo, dopóki drugi agent w takim samym kostyumie nie załatwi transakcyi z attaché, przebranym za białego zakonnika.

Po dokonaniu tego i po uzyskaniu w ten sposób dowodu szpiegowskich machinacyi baronowej, zrewiduje się ją, skradzione plany odbierze, a ją samą odstawi się pod dobrą eskortą do policyi.

W wielkiej sali, oświetlonej tysiącami różno barwnych lamp elektrycznych, snuł się już niezliczony tłum masek, wywołujących wrażenie czarodziejskich postaci z tysiąca i jednej nocy.

Podczas gdy wśród nich piękna Rosyanka przebrana, stosownie do treści biletu, w domino różowo-czarne, napróżno szukała astrologa, z którym miała *rendez-vous*, hrabia Fraskopelly, jako biały zakonnik, skierował się do domina niebiesko-żółtego, które, siedząc na uboczu, bawiło się otwartym wachlarzem i przyglądało się tańczącym parom.

W chwili gdy kapitan niemiecki przechodził koło niego, czekając na jaki gest, który upoważniłby go do podejścia, nagle wachlarz niby mimowolnie wypadł z rąk domina.

Hrabia schylił się natychmiast uprzejmie, lecz podnosząc go, ujrzał wypisane na nim kilka wierszy. Jednym rzutem oka przeczytał je:

„Ani słowa, podsłuchują nas. Dokumenty mam w czarnym szalu koronkowym. Pieniądze proszę podać w ten sam sposób“.

Był to pomysł Lapipa, aby uniknąć wszelkiej rozmowy, w której agentka jego mogłaby się zdradzić odmiennym głosem.

Hrabia skłonił się głęboko przed dominem, które uważał za baronową i podał jej wachlarz. Podziękowała mu ruchem głowy i powstając z siedzenia, zaraz odeszła, zapominając niby o koronkowym szalu, wiszącym na krześle.

Hrabia wziął go w tej chwili i pospieszył za nią, by go oddać, domino jednak zmieszało się już z tłumem. Zaczął więc poszukiwać go, a po drodze wyjął z koronek grubą kopertę, którą wsunął sobie zręcznie pod habit.

Całą tę scenę śledził uważnie pewien mężczyzna. Był to Paweł de Vareilles.

Ukryty z boku domu Newtona doczekał się, aż detektyw w kostyumie szeika marokkańskiego udał się na bal.

Upewniwszy się co do tego ważnego punktu, zjawił się sam w pół godziny potem w salonach ambasady, jako mandaryn i zaraz rozpoczął poszukiwać białego zakonnika.

Wszystkie nici intrygi łączyły się w osobie kapitana niemieckiego i skoro tylko go odkrył, pilnie baczył na każdy jego krok.

Stojąc w tłumie, śledził swem czujnem okiem wszystkie ruchy agentki, jak z wielką ostrożnością wręczała fałszywe dokumenty Fraskopelly'emu, który znowu chciał użyć pozostawionego szalu na podanie swej wspólniczce sumy, umówionej za wykradzenie planów.

— Doskonale wszystko idzie — szepnął do siebie — ten poczciwy Lapipe wspaniale urządził to spotkanie. Niczego więcej żądać nie można!...

Ciesząc się, nie tracił jednak z oka attaché wojskowego. Widział, jak wyjął z koronki cenny zwitek papierów, który zastąpił zaraz dość grubą kopertą.

— Oto pieniądze... muszą one teraz przejść do mnie — rozmawiał z sobą — jeszcze trochę szczęścia, a będę je miał.

Biały zakonnik tymczasem zdawał się ciągle szukać domina niebiesko-żółtego; dziwna jednak rzecz, gdy je spotykał, nie zaczepiał go, a przeciwnie domino zachowywało się tak, jakby go śledziło.

Wreszcie znaleźli się w sali bufetowej, w której kłębił się zwarty tłum masek. Zakonnik i domino zostali rozdzieleni przez napływające masy gości i nie mogli się zejść. Między nimi stał mandaryn, który daremnie usiłował wydostać się z tego tłoku.

Nakoniec udało się zakonnikowi wyciągnąć rękę do domina, by oddać mu czarny szal. Gdy jednak koronka dostała się nareszcie do rąk, dla których była przeznaczona, znajdująca się w niej koperta została z nadzwyczajną zręcznością zamieniona na inną, tak iż tego ani kapitan, ani pseudo-baronowa nie spostrzegli.

— Oh! Mam wreszcie — westchnął radośnie Paweł de Vareilles. — Grubość jej jest dość pokaźna... Biedni na tem skorzystają... Poczciwy Lapipe będzie miał dziwne pojęcie o sposobie, w jaki attaché niemiecki opłaca swych szpiegów; czy nie żal będzie trudów jednej i drugiej stronie, że zamiast papierów wartościowych mają skrawki gazet?... Chodźmy jednak za naszem dominem, a dowiemy się, gdzie znajduje się inspektor.

Domino, jakby zniechęcone, że nie może dostać

się do bufetu, wróciło do hali i podeszło do niskiego mężczyzny, który w przebraniu oficera boerskiego stał oparty na wielkiej szabli i przyglądał się obojętnie tańczącym; jemu oddało domino otrzymaną kopertę.

Rola agentki była skończona. Mogła już odejść. Boer podał jej rękę i odprowadził do przedsionka, gdzie żegnając się z nią, złożył jej głęboki ukłon, jak jakiej wybitnej osobistości. Jednocześnie zwrócił się do dwóch Chińczyków, którzy przy wejściu oglądali uważnie kilku spóźnionych gości.

— Jest? — zapytał.

Touffe odpowiedział:

— Żadnego domina niebiesko-żółtego nie było.

Lapipe nie mógł ukryć zdziwienia.

— Napewno?

— Z pewnością... czyż nie prawda, Brisemiche?

Drugi Chińczyk potwierdził zdanie swego kolegi.

— Z wszelką pewnością nie było.

— To niemożliwe! — złościł się Lapipe. — Czyżby w ostatniej chwili baronowa cofnęła się?... Przecież Fraskopelly przyszedł. Cóż to może znaczyć?

Spojrzał na zegarek.

— Dwunasta!... Nic jeszcze niema straconego... może jeszcze nadejść...

I zwracając się do agentów:

— Uważajcie... a jak tylko przyjdzie, dajcie mi znać! Będę w palarni...

Przy ostatnich słowach podniósł głos, tak iż były porucznik dosłyszał je.

Zjawiła mu się wtedy nowa myśl.

— A to — szepnął do siebie — byłaby komiczna scena!...

Gdy Lapipe wchodził do palarni, była ona zupełnie pusta. Oddawna już na stole nie było ani jednego papierosa. Goście zabrali wszystko. Inspektor zaczął szukać po kieszeniach, lecz zapomniał swej papierośnicy. Zrobił zawiedzioną minę, którą dojrzał wchodzący mandaryn.

— Gorzej niż na przyjęciu w ratuszu — odezwał się wesoło — nic nie pozostawili...

Przy słowach tych wyciągnął srebrną papierośnicę i podał ją otwartą Lapipowi.

— Pozwoli pan papierosa? — zapytał uprzejmie.

— Chętnie, dziękuję.

— Są one z jasnego tytoniu...

— Właśnie ten najchętniej palę.

Ta uprzejmość zbliżyła do siebie obu mężczyzn. Usiadłszy, zaczęli rozmawiać.

— Wspaniała zabawa — zaczął mandaryn — ambasador istotnie dokonał niezwykłej rzeczy... ta zamiana ogrodu na pałac letni cesarza chińskiego, wypadła cudownie!...

Lapipe, który w milczeniu dotąd zaciągał się papierosem, odezwał się nagle, jakby mówił do siebie:

— To dziwne... ten zapach przypomina mi coś, lecz co?... Nie pamiętam...

W chwili tej w drzwiach ukazała się pasterka, idąca pod rękę z rycerzem rzymskim.

Mandaryn podniósł się natychmiast.

— Ależ to jest hrabina Bolatinolle!

Zwracając się do Lapipa, dodał:

— Pozwoli pan na chwilkę, zaraz wrócę...

Lecz gdy wyszedł, nie pomyślał nawet o pasterce i skierował się wprost do wielkiej sali, gdzie zaczął szukać szeika marokkańskiego.

Po chwili ujrzał Newtona, który przeciskał się wśród tłumu, pragnąc odgadnąć, w jakiem przebraniu ukrywa się inspektor francuski. Gdy zbliżył się do niego, pociągnął go dyskretnie za rękaw i szepnął:

— Panie szefie...

Newton zadrżał. Czyżby Opatrzność jeszcze raz przychodziła mu na pomoc? Już teraz mógł wykorzystać w zupełności to szczęśliwe dla siebie *qui pro quo*.

Zdołał jednak pohamować swe wzruszenie i tonem zupełnie naturalnym odparł:

— I co?

— Mamy go... jest w palarni... jako boer...

— Doskonale...

— Idę uprzedzić innych i schwytamy go...

— Dobrze, niech pan idzie prędko...

Podczas gdy mandaryn oddalał się, detektyw, rozpłomieniony z radości, rzekł do siebie:

— Zanim on zbierze swych towarzyszy, zabójca pani Aesthon będzie już w mych rękach.

Pobiegł raczej, niż poszedł do małego salonu, w którym znajdował się Lapipe. Na progu zatrzymał się niespodzianie. Jakaś specyalna woń dymu podrażniła mu nozdrza.

— Brackmonds! — szepnął do siebie — trudno, bym go nie poznał... ma on zapach, który nie zwiedzie żadnego palacza...

Nie mógł już wątpić. Tytoń ten rozwiał ostatnie jego wahania. Człowieka, którego miał przed sobą, widział już w hotelu „Księcia Portugalskiego“, był to zabójca z Nowego Jorku, wymykający się z niezwykłą zręcznością do tej pory z rąk policyi francuskiej.

Lapipe, siedząc najspokojniej w fotelu, puszczał w górę wielkie kłęby dymu i myślał, co mu zapach tego tytoniu przypomina, gdy nagle zjawił się przed nim szeik marokkański z rewolwerem w ręku i krzyknął:

— Poddaj się!

W przerażeniu, jakie ogarnęło inspektora, spadła mu z twarzy maska.



Hrabia Fraskopelly, jako biały zakonnik skierował się do domina niebiesko-żółtego.

— Lapipe! — zawołał detektyw, opuszczając rewolwer i zdejmując swą maskę.

— Newton! — zdumiał się Lapipe — co się stało?... Niedawno ja pana chwytałem, a teraz pan mnie chce aresztować?

Mimowoli, choć nie miał do tego najmniejszej chęci, detektyw roześmiał się, odpowiadając:

— A więc skwitowaliśmy się!...

— Lecz cóż do dyabła, drogi kolego — zapytał Lapipe — pan tutaj robi?

— Zapewne to samo, co i pan — odparł zawstydzony trochę Newton...

— Wątpię.

— Pan nie szuka zabójcy z Nowego Jorku?

— Zabójcy z Nowego Jorku? — przerwał inspektor — ależ on został aresztowany w Rzymie... przed chwilą otrzymaliśmy wiadomość w dyrekcyi...

Detektywowi zdało się, iż nogi mu się uginają. Więc nagroda, dla której tyle trudów poniósł, przepadła dla niego zupełnie. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko z zwieszonym nosem wrócić do Ameryki.

— A ja przed chwilą jeszcze myślałem, że mam już opryszka, któremu pan pozwolił umknąć z ulicy Biot!

— Szczura hotelowego?

— Ależ nie... Bardzo mi przykro. ale muszę powiedzieć, że pan wtedy wszedł na fałszywą drogę... szczur hotelowy nie był zabójcą, lecz ofiarą...

— Jakto? Co pan mówi? — zapytał Lapipe zdziwiony.

— Jegomość, którego pan śledził od wylądowania z „Starego Czarnego Psa“, wywiódł zręcznie pana w pole; na miejscu swojem zostawił jakiegoś opryszka, który istotnie chciał go w nocy zabić dla grabieży.

— Jest pan tego pewny?

— Najzupełniej.

Opowiedział mu przytem w krótkich słowach swe badanie na ulicy Biot.

— Do stu tysięcy dyabłów! — zaklął Lapipe podczas tego opowiadania, które mu dopiero otworzyło oczy na całą sprawę.

— Tego tylko nie rozumiem — dodał Newton z pewną ironią — że pan dał się na to złapać.

Lapipe, podrażniony temi słowami, odparł uszczypliwie:

— Cóż miałem począć, gdy tamten łajdak uśpił mnie zawczasu; co człowiek może, gdy ma głowę pełną chloroformu?... To wszystko jednak nie tłomaczy mi, drogi kolego, skąd pan miał pewność, że ten opryszek z ulicy Biot znajduje się tutaj?

— Oh, drogi przyjacielu, prosty wypadek... jedna z tych niejasnych wskazówek, które pomagają nam nieraz do rozwikłania najciemniejszych spraw...

— Lecz przecież...

— Tytoń, który pan pali... ma bardzo specyalny zapach... nie sprowadzają go do Francyi i trzeba samemu sobie przywozić z Ameryki...

— A więc?

— Kilka okruszynek tego tytoniu znalazłem w hotelu na ulicy Biot...

— Tak, więc był pan przekonany, że zabójca z Nowego Jorku...

— Pasażer z „Starego Czarnego Psa“, a zarazem gość z hotelu „Księcia Portugalskiego“...

— Żyje ciągle i znajduje się na tym balu...

— Nie mogłem wątpić, że jest nim człowiek, który pali najspokojniej w tym salonie Brackemonds z Meksyku.

Słysząc to, Lapipe wyciągnął szybko z ust papierosa i spojrzał na zatarty przez pół złoty napis.

— „Brackemonds, Meksyk!“ — zawołał blednąc — lecz w takim razie...

— Co się stało?

— W hotelu pod „Nadzieją“...

— Dokąd pan przybył na pomoc baronowej Bristow...

— To pan wie wszystko? — zauważył ze złością inspektor.

— Co to panu szkodzi?... Lecz co dalej?

— Człowiek, który znikł tak tajemniczo po jej ocaleniu, nie pozostawił po sobie innego śladu, jak tylko zupełnie podobny kawałek papieru...

— W takim razie — wywnioskował flegmatycznie detektyw — jest to on... ten sam mandaryn, który poczęstował pana właśnie tym papierosem...

— I który potem poszedł pana uprzedzić...

— By zakpić z nas obu...

— Z pana, drogi Newtonie!...

— Czyż tak? — rzekł urażony detektyw — a jakiżby miał w tem cel?

— Oh! Tego już nie wiem — odparł, śmiejąc się, inspektor — przecież ja nie szukałem zabójcy pani Aesthon.

Newton udał obrażonego. Uznał to jednak zaraz za bezcelowe. Wyjedzie wkrótce do Ameryki, nic go więc tutaj nie będzie obchodziło.

— Zdaje mi się, drogi kolego — odezwał się — iż zamiast dysputować, lepiej będzie, gdy postara się pan schwytać tego jegomościa!... Taki zuch, jak on, musi być bardzo ciekawy!...

— Był w zielonym kostyumie?

— Z szklanymi guzikami... będzie to jednak dość trudne aresztowanie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kurs pożarnictwa.

Wiemy wszyscy aż nadto dobrze, ile kraj nasz cierpi skutkiem szkód, wyrządzanych przez pożary. Wystarczy przytoczyć, że wedle obliczeń krajowego Związku ochotniczych straży pożarnych, Galicya straciła w ciągu lat 1906—1908 przez ogień kwotę bardzo wysoką, bo równającą się 14.683.601 koron. Jest tedy naszym obowiązkiem obywatelskim popieranie rozwoju straży ogniowych zarówno zawodowych, jak i ochotniczych, aby zmniejszyć rozmiary szkód ogniowych.



Mieczysław Sachorowski.



Rewolucya w Hiszpanii: Król Alfons XIII. z prezydentem gabinetu Maurą.

Sympatycznie więc witamy wszelkie usiłowania w tym kierunku, które — co przyznać należy — z dnia na dzień się mnożą. I tak w ubiegłym miesiącu odbył się w Włosienicy pod Białą trzechdniowy kurs dla instruktorów dla straży pożarnych wiejskich przy Kółkach rolniczych. Inicyatorem tego kursu był tamtejszy Zarząd powiatowy Kółek rolniczych, pośpieszyły mu zaś z pomocą: Główny Zarząd we Lwowie oraz Rada powiatowa bialska. Kurs ten odbył się pod kierownictwem p. Sroki, którego przysłał Zarząd główny ze Lwowa.

Na zakończenie kursu, w którym wzięło udział 24 członków, reprezentujących 10 gmin powiatu bialskiego, odbył się egzamin teoretyczny i praktyczny. Obecnymi przy tym egzaminie byli: starosta powiatu bialskiego p. W. Biesiadecki, poseł L. Dobija, ks. J. Grudziński i wiele innych osób.

Ponieważ powiat bialski nawiedzają często wylewy Soły i Wisły, przeto na życzenie starosty p. Biesiadeckiego odbył się na tym kursie także wykład o ratunku podczas powodzi. Jest to innowacya bardzo godna pochwały i niezawodnie przyniesie duże korzyści na tego rodzaju kursach.

* * *

Rycina nasza przedstawia uczestników kursu we Włosienicy, zebranych w malowniczej grupie.

Mieczysław Sachorowski.

Za kilka dni, bo już 15 sierpnia, skończą się występy lwowskiej trupy operowej w teatrze krakowskim. Z żalem prawdziwym pożegna się Kraków z gośćmi lwowskimi, bo zawdzięcza im sporo miłych chwil.

Na czele lwowskiej drużyny stał, jak corocznie, sekretarz miejskiego teatru we Lwowie, p. Mieczysław Sachorowski, jego też jest przeważnie zasługą, iż występy lwowskiej drużyny artystycznej cieszą się w Krakowie tak dużem powodzeniem.

Ale bo też p. Sachorowski, który ma za sobą doświadczenie i pracę przeszło dwudziestopięcioletnią na stanowisku sekretarza teatru, zna doskonale upodobania publiczności i umie jej dogodzić. A nie jest to zadanie łatwe, gdy się zważy, jak wybredna jest publiczność krakowska a jak trudne są warunki, wśród których trzeba na gruncie krakowskim pracować.

Tegoroczne *staggione* lwowskiej opery i operetki uwieńczone zostało nietylko dobrymi wynikami kasowymi ale przedewszystkiem wysokim poziomem artystycznym, na jakim stały wszystkie prawie przedstawienia



Kurs pożarnictwa: Uczestnicy kursu i grono gości. 1. Poseł Dobija; 2. Starosta Biesiadecki; 3. Ks. Józef Grudziński; 4. J. Sroka, instruktor i kierownik kursu

KRONIKA TYGODNIOWA.

(Drugi tydzień kanikuły. — Bazes i Łata. — Jeszcze o walce lokatorów z kamienicznikami. — Czesi w Krakowie. — Dar Grunwaldzki i dar Roseggera. — Cholera. — Jagiellońskie smrody. — Artystyczny wygląd miasta. — Sensacyjne artykuły. — Tryumf niewiast. — Niegrzeczni Hannowerczycy. — Coś niecoś z polityki. — Meteorologiczne zakończenie).

I drugi tydzień kanikuły przyniósł nam kilka wypadków, które zajęły ogół osamotnionych Krakowian. Po Barbarze Ubryk przyszła kolej na „aresztowanie Bazesa za dwa centy“, jak głosili kolporterzy, a już koroną zdarzeń była nieudała ucieczka p. Łaty i towarzyszów, którym sprzykrzył się monotonny pobyt w murach kryminału.

Aresztowanie Bazesa rozradowało niepomiernie krakowskich kapitalistów, którzy mu zazdrościli wielkiej fortuny, ucieczka Łaty zmartwiła wiedeńskiego kata, p. Langa, który wybiera się w podróż do Galicyi. Siczyński wymknął się mu już z rąk, to samo miał zamiar urządzić obecnie i Łata, a tu teraz takie ciężkie czasy! Ta radość i to zmartwienie były jednakowoż krótkie i znikome, jak wogóle losy ludzkie, o Bazesie wkrótce zapomniano, Łata powrócił także w gościnne progi, gdzie przyjęto go z radością, jak niegdyś owego biblijnego marnotrawnego syna.

Że pobyt w murach więziennych nie jest wcale przyjemny, to rzecz łatwo zrozumiała, przecież nawet p. Borowska nudzi się tam szalenie, a cóż dopiero powiedzieć o panu Łacie, który ma wszelką nadzieję, że wejdzie w bliższą znajomość z wspomnianym już wyżej p. Langiem, jedynym w Austryi urzędnikiem, który niema wcale żadnych zaległości. Złą tylko drogę obrali sobie uciekinierzy, kierując swe kroki do kanału, gdyż zarząd więzień, wiedząc o tem, że jego lokatorzy tęsknią do wolności i w podziemiach poumieszczał kraty, które uciekającą czwórkę powstrzymały w drodze do wolności.

Mieliśmy takze i małą eksplozyjkę, nie spowodowaną wprawdzie bombą, ale w każdym razie był huk, a naród miał się na co gapić. Z owej eksplozyi przekonaliśmy się, że najbardziej „pechowną“ jest w Krakowie ulica świętego Sebastyana, gdzie niedawno wóz zabił robotnika, a obecnie „Tęcza“ chciała wylecieć w powietrze. Skorzystają może z tego lokatorzy, którym właściciele zniżą czynsze, byle ich tylko utrzymać na miejscu. Nie wiem, czy spełni się moje przewidywanie, gdyż nasi kamienicznicy są bardziej twardzi niż kamienie, których używają do budowy.

W całej pełni zalety ich i wady poznaliśmy obecnie, gdyż z powodu braku innego zajęcia lokatorzy z Kazimierza już czwartą z rzędu niedzielę obradują pod gołem niebem i wieszają psy na kamienicznikach, którzy znów śmieją się w kułak, przemyśliwając tylko nad sposobnością podwyższenia czynszów od najbliższego kwartału. Nie wiem jednak komu wierzyć. Lokatorzy narzekają na właścicieli, ci znowu przedstawiają się za męczenników, żyjących i pracujących tylko dla dobra najemców, a nie znajdujących niestety uznania. Wprawdzie kamienicy dotąd nie miałem i jak się zdaje, mieć jej nigdy nie będę, sądzę jednak, że daleko przyjemniejsze jest życie kamienicznika, niż biednego lokatora, zwłaszcza w obecnych czasach, kiedy wartość domów podskoczyła prawie w dwójnasób.

Tak, jak rzeźnicy i piekarze, narzekają i kamienicznicy na magistrat, iż nie idzie im na rękę, owszem przeszkadza nawet, by nie odzierali lokatorów ze skóry. Najbardziej martwi ich okoliczność, iż z powodu zniesienia dawnych wałów fortyfikacyjnych przybędzie Krakowowi bardzo wiele miejsca pod budowę, wobec czego i cena mieszkań z czasem musi się obniżyć, gdy ich będzie więcej, niż obecnie. Smuci ich również popieranie przez Radę miejską stowarzyszenia, mającego na celu budowę tanich domów dla urzędników i projektowana budowa miejskich domów dla personalu, podległego Radzie miejskiej. To są wszystko gwoździe do ich trumny, jak sami powiadają, ale zarazem nadzieja dla lokatorów, że może przecież po wielu a wielu jeszcze latach nastanie w Krakowie szczęśliwa chwila, iż będzie można za pięćset guldenów wynająć mieszkanie, składające się z trzech pokoi i kuchni z przynależnościami.

Akcya przeciw kamienicznikom jest dla każdego nader sympatyczną, gdyż niema, zdaje się, w Krakowie i wogóle na świecie lokatora, któryby kochał swego mieszkaniodawcę, tak jak niema kamienicznika, nie narzekającego na lokatorów.

Z kolei rzeczy zanotować należy zapowiedziany na najbliższą niedzielę przyjazd Czechów, którzy jadąc na wystawę do Częstochowy, wstępują po drodze i do Krakowa, aby rewizytować nas po zeszłorocznych odwiedzinach w Pradze. Zawiązał się też komitet, aby godnie przyjąć braci Słowian z nad Wełtawy, przeciętny Krakowianin uczy się na gwałt po czesku, a tylko pan baron Götz zmartwiony, gdyż w tym tygodniu stanowczo wypijemy więcej pilznera, niż naszego krajowego okocimera. Wielcy politycy i patryoci chodzą w podniosłym nastroju, ciężarni myślami nad mowami i toastami, które z trudem rodzą się pod ich łysinami, Hawełka, owa osobliwość Krakowa, przygotowuje masę kanapek, nawet i ja dałem się porwać obecnemu ruchowi i biorę lekcye języka czeskiego, którego pod nieobecność mojej prawowitej małżonki udziela mi pewna „sleczna“ z Podiebradu.

Niemcy gniewają się, widząc owo bratanie się Słowian, zdaje mi się jednak, że to tylko może im wyjść na zdrowie. Powoli powinni się przyzwyczaić do budzenia się Słowiańszczyzny, aby przyszłoroczny Grunwald nie zastał ich nieprzygotowanych.

Z owego zjazdu powinny być i piękne skutki tak materyalne, jak i moralne, jeśli *nota bene* nie pokierujemy sprawy tak, jak my to umiemy, to jest na razie dużo krzyku i fajerwerków i na tem koniec! Tak samo, zdaje mi się, ma się rzecz i z owym darem Grunwaldzkim. Wzięliśmy się energicznie, co prawda, do dzieła, obecnie jednak zapał coraz bardziej stygnie, a wielu, którzy subskrybowali na ten cel pewne kwoty już żałuje, iż się dało nieopatrznie porwać szlachetnemu prądowi. A tymczasem Szwaby nie próżnują i już nawołują, aby z funduszu Roseggera założyć niemiecką szkołę w kolonii Mariahilf pod Kołomyją, gdyż tam polonizują ich kamratów. U nas będzie się sto lat zbierać ów dar Grunwaldzki, drugie sto lat będzie się kłócić, kto ma nim zarządzać, a kiedy przyjdzie wreszcie do porozumienia, pokaże się, że pieniędzy niema, bo jedni obiecali, ale nie zapłacili, inni zapłacili wprawdzie, ale pieniądze rozeszły się na roboty przedwstępne, które u nas pochłaniają wszelkie fundusze. A może się mylę? Dałby to Bóg!

W rzędzie rozmaitych przyjemności wakacyjnych, między któremi trzyma prym naturalnie deszcz i zimno, zaznaczyć też należy zbliżanie się cholery, która dla nas ma tę dobrą stronę, iż dzięki jej odnośne władze przypominają sobie o porządku, hygienie i innych niepotrzebnych rzeczach, które u nas przez rok cały istnieją wprawdzie, ale na papierze. Nie można zaprzeczyć, iż w ostatnich czasach poprawiły się w tej mierze stosunki w podwawelskim grodzie, nie jest jednak jeszcze tak, jak być powinno. Konserwatywny Kraków tak się zrósł ze śmieciami i błotem, iż bez nich czuje się nieswojsko, dało to nawet panu Daszyńskiemu sposobność do utworzenia „kwiatka stylistycznego“, gdy mówił zebranym na ul. Dietla lokatorom o „jagiellońskich smrodach“ Krakowa, choć odpowiedniejsze byłoby w tamtej okolicy wyrażenie, przypominające Palestynę. Każdy, kto zna Kraków, przyznać mi musi, iż takiego brudu, błota i paskudztwa, jak w domach na Kazimierzu, nie znajdzie chyba na całym świecie, a tam, jak wiadomo, mieszkają żydzi, którzy byliby woleli, gdyby towarzysz poseł był im wspomniał o „smrodach palestyńskich“.

Przy tej sposobności warto zwrócić uwagę naszemu magistratowi, by, idąc śladem Lwowa, który wydał obecnie przepisy w sprawie szyldów i wywieszek, przypomniał kupcom Stradomia i Kazimierza, a nawet i Śródmieścia odnośne rozporządzenia, które zabraniają umieszczania przed sklepami różnych towarów, na czem cierpi artystyczny wygląd miasta. Wystarczy przejechać tramwajem z dworca na most Podgórski, a jest to droga, którą odbywa każdy zwiedzający Kraków, aby się przekonać, jak niektórzy kupcy krakowscy lekceważą sobie rozporządzenia władzy. Najrozmaitsze części garderoby sukiennej i płóciennej, męskiej i damskiej, niby flagi wiatrem poruszane witają przybysza, który nie bardzoby się pomylił, sądząc, iż jest nie w stolicy, ale w jakiejś zapadłej galicyjskiej mieścinie.

Szanowny Czytelnik widzi więc z tego, że mamy dość ważnych spraw, któremi i w sezonie kanikularnym można się zająć, a nie potrzeba uciekać się do wyszukiwania nadnaturalnych wydarzeń, o jakich tu i ówdzie czyta się po niektórych dziennikach. Same tytuły mówią już za siebie. W ostatnim tygodniu wynotowałem sobie następujące nadzwyczajności: *Kaszląca roślina. Ludzie bez żołądka, Krawiec aeronautą.*

Ta ostatnia wiadomość nie jest niczem nadzwyczajnem, gdyż w czasie, gdy każdy człowiek choćby myślą tylko buja po powietrzu, zajęcie się krawca balonami nie jest przecież niczem tak znów bardzo ciekawem. Nieudałe wzloty Lathama i tryumf Blériota poruszyły całą opinię publiczną i to nietylko rodzaju męskiego, ale i żeńskiego. Z okazyi Blériota niewiasty całego świata radują się niepomiernie, gdyż okazało się, iż jest on w pożyciu domowem bardzo posłusznym pantoflem. Gdy szczęśliwie wylądował w Anglii i zapytano go, czy ma zamiar wracać tą samą drogą, odpowiedział całkiem skromnie, iż musi się najpierw zapytać, czy żona nie będzie miała nic przeciw temu. Nasze panie tryumfują, jest to woda na ich młyn, jeśli bowiem tak znakomity wynalazca i odważny człowiek uznaje wyższość nad sobą swej prawowitej władzy domowej, cóż mamy dopiero mówić my, którym o podobnej sławie ani się nie śniło! Że zaś niewiasty stają się coraz bardziej wojownicze, gotowo być źle z nami! Dowód energii niewieściej mieliśmy znowu we Lwowie, gdzie na cmentarzu po pogrzebie urządziły kumoszki gruntowne lanie, lecz nie mężczyźnie, ale jednej ze swego grona, która zupełnie niepotrzebnie należała do trójkąta małżeńskiego w rodzinie jakiegoś motorowego od miejskiego tramwaju. Zawczasu należałoby więc pomyśleć o jakichś środkach zaradczych, aby powrót pań z willegiatury nie zastał nas nieprzygotowanych.

Wprawdzie na energię w sprawie kobiecej zdobywają się tu i ówdzie poszczególne osobniki, niestety jednak, nie u nas. Dowód takiej cywilnej odwagi rodzaju męskiego dała ostatnio dyrekcya policyi w Hannowerze, która w dawniejszych czasach wystąpiła ostro przeciw długim sukniom, a obecnie przeciw nadmiernie wielkim szpilkom u damskich kapeluszy, wychodząc z bardzo mądrej zasady, iż w miarę rozrostu kapeluszy, rośnie też i w stosunku prostym długość szpilki, co zagraża bezpieczeństwu publicznemu. Przypuszczam, iż tamtejszy dyrektor policyi musi być kawalerem, do tego starym i stetryczałym, i wrogiem płci pięknej. Nasi dozorcy porządku publicznego, którzy oprócz swej przełożonej władzy rządowej muszą się liczyć i z domową, nie pozwoliliby sobie na podobną względem dam niegrzeczność.

Prócz tych wyżej przytoczonych spraw, że się tak wyrażę, domowego znaczenia, zajmowaliśmy się w ubiegłym tygodniu także i polityką. Chodziło głównie o to, czy król Edward przyjedzie do Maryenbadu, czy nie, od czasu bowiem załatwienia sporu między Austryą a Serbią stracił tak na wadze, iż mu kuracya maryenbadzka już nie jest potrzebna. Pan Clemencau natomiast zjechał już do Austryi i kąpie się bardzo gorliwie, wdzięczny koledze Briandowi, iż uwolnił go od kłopotów rządzenia. Anglicy i Niemcy z zawiścią patrzą na tryumf Francuzów, którzy uzyskali rekord napowietrzny, a Hiszpania poci się w Afryce i u siebie, wdawszy się w zupełnie nierentowne przedsiębiorstwo walki z Kabylami. Podróże monarchów zajmują też uwagę politykującego świata, bo właśnie z końcem wakacyi rozpoczyna się ich sezon. W Persyi i Turcyi względny spokój, o Kretę kłótnia jeszcze nie ukończona, zdaje się jednak, iż i tu sprawa załatwioną będzie pokojowo, aby nie dać sposobności reszcie Europy do mieszania się w nieswoje sprawy, na którem najgorzej wychodzą powaśnieni, najlepiej „uczciwy pośrednik“. Zato Boliwia z Argentyną mają zamiar wziąć się za łby, to nas jednak nic nie obchodzi, po pierwsze dla tego, iż zanadto daleko są od nas, po drugie, iż amerykańskie stosunki jakoś nas mało interesują, chyba, jeśli chodzi o jakiego amerykańskiego wujaszka z dolarami, który zawsze bardzo chętnie widziany bywa w Europie bez względu, czy pochodzi z Boliwii, Argentyny lub skądinnąd.

Na zakończenie niech mi wolno będzie wyrazić po raz nie wiem już który głębokie ubolewanie pod adresem władz niebieskich, zajmujących się pogodą i temperaturą. Wszystkie nadzieje, jakie żywiliśmy na czas wakacyjny, pod wpływem deszczu spłynęły do Rudawy, a z nią do Wisły. Żaden tu rekurs ani narzekanie nie pomoże, zanim bowiem doszłyby na miejsce przeznaczenia ze względu na wielką odległość i znany pospiech pocztowo-telegraficzny. będzie tymczasem zima, a wówczas pogody nie potrzebujemy. Połowa wakacyi minęła bezpowrotnie, za jakie dwa lub trzy tygodnie zjadą nasze czcigodne połowice, a tu żaden z nas nie użył jeszcze przyjemności, jakich się w tym czasie spodziewał. Taka to już nasza dola! Podobno o ten deszcz prosiły nasze małżonki, bojąc się o mężowską wierność i niestety dokazały swego! *X.*

Zbiegowie rosyjscy w Paryżu.

Od czasów pamiętnej rewolucyi w cesarstwie rosyjskiem, która na długi szereg lat zatamowała naturalny rozwój stosunków społecznych w tem państwie, bardzo wielu poddanych rosyjskich, którzy bądź brali czynny udział w walkach, bądź należeli do tajnych stowarzyszeń konspiracyjnych i obawiali się odpowiedzialności, opuściło granice ojczystego kraju i przeniosło się na stały pobyt za granicę, bądź do Galicyi, bądź do Szwajcaryi, bądź też do Francyi lub innych krajów.

Wszędzie tworzyli i tworzą ci zbiegowie pewnego rodzaju kolonie, trzymając się razem, razem się kształcąc i pouczając, wspierając się nawzajem w czasie pobytu na obczyźnie, który bądź co bądź równa się wygnaniu.

Życie ich nie jest godne zazdrości. Bo choć rządy obcych państw, pod których opiekę oni się schronili, tolerują ich w swych granicach, to przecież spoczywa na nich zawsze czujne oko policyi danego kraju i w razie najmniejszego przewinienia muszą oni szukać gdzieindziej przytułku.

Kolonia politycznych zbiegów rosyjskich w Paryżu tworzy najbardziej skonsolidowaną grupę. Ma ona własną bibliotekę, zaopatrzoną w duży księgozbiór, ma czytelnię pism, gdzie znajdują się niemal wszystkie dzienniki francuskie i rosyjskie, ma własną salę, rodzaj kasyna, gdzie zbierają się bardzo często na pogadanki naukowe.

W ten sposób łatwiej przychodzi im znieść ciężkie stosunki pobytu na obczyźnie, a praca nad własnem wykształceniem pozwala zapominać o troskach i kłopotach codziennego życia.

W ostatnich dniach poddani rosyjscy, przebywający we Francyi, a zwłaszcza w Paryżu, byli pod ścisłym bardzo dozorem francuskiej policyi, a to z tego powodu, iż w Cherbourgu we Francyi odbył się zjazd cesarza rosyjskiego z prezydentem Republiki Fallieres'em.

* * *

Załączone dziś ryciny przedstawiają grupę zbiegów rosyjskich, zebranych w czytelni pism i zajętych ich lekturą, oraz salę ich zebrań towarzyskich w Paryżu.



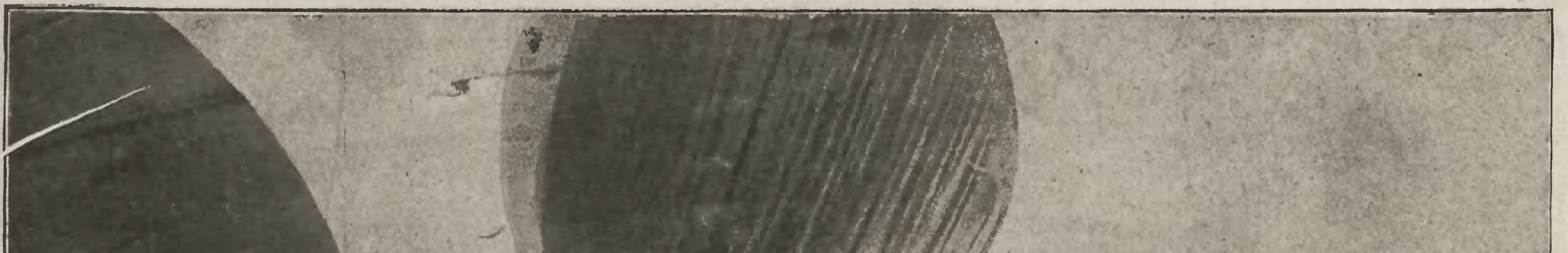
Zbiegowie rosyjscy w Paryżu: Grupa zbiegów w czytelni pism,

Osobliwa katastrofa.

Wypadek nadzwyczajny, jaki dotąd w historyi aeronautyki był nieznany, wydarzył się kilka dni temu w Brukselli podczas wzlotu balonów, i jedynie dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, nie pociągnął za sobą poważniejszych następstw. Rzecz miała się tak: balon *Cosmos* zawcześnie został puszczony i zawadził o skrzydło geniusza, umieszczonego na jednej z kolumn, zdobiących główną aleję parku „Du Cinquantenaire“. Skutkiem tego w jego powłoce utworzył się wielki otwór. Gaz zaczął uchodzić, a w parę sekund *Cosmos* gwałtownie zaczął opadać na ziemię.

Wzmiankowany balon spadł wprost na inny balon, noszący nazwę *Busley*, i swoją kotwicą go mocno uszkodził. Z *Busley'a* w tej chwili wydobył się gaz i zaczął dusić czterech pasażerów, znajdujących się w łódce *Cosmos'a*. Dwóch z nich, a mianowicie porucznik Wahis, oraz inżynier Delabron mieli jeszcze tyle przytomności, że zeskoczyli na balon *Busley* i w ten sposób uratowali swe życie. Dwaj inni pasażerowie, ogarnięci zabójczymi wyziewami, omdleli i napoły uduszeni spadli powoli na ziemię. Obecne na miejscu pogotowie ratunkowe przyprowadziło ich jednak wkrótce do życia.

Rycina nasza przedstawia ciekawą chwilę, gdy porucznik Wahis spuszcza się po powłoce balonu *Busley* ku ziemi. Wrażenia publiczności, obecnej przy tej katastrofie — jak donoszą dzienniki belgijskie — były nadzwyczajne.



Osobliwa katastrofa: Zderzenie się dwóch balonów.

Zjazd młodzieży polskiej w Zakopanem.

W ubiegłym tygodniu zebrali się w Zakopanem, u podnóża uroczych Tatr, przedstawiciele młodzieży polskiej ze wszystkich dzielnic, aby obradować nad sprawami, obchodzącemi ogół młodzieży. Na zjazd przybyli przedstawiciele wszystkich stronnictw i prawie wszystkich stowarzyszeń młodzieży z kraju i zagranicy.

Po weryfikacyi mandatów zagaił obrady imieniem komitetu zjazdu dr. Mieczysław Orłowicz, prezes stowarzyszenia polskiej młodzieży postępowej we Lwowie, dając pogląd na przebieg organizacyi Zjazdu i wyrażając nadzieję, że ten zjazd, pierwszy

w którym młodzież wszelkich przekonań politycznych tak liczny bierze udział, wyda niewątpliwie rezultat dodatni. Imieniem „Ogniska" przemówił p. Gasztowt ze Lwowa, poczem witali zjad p. Sieroszewski, w imieniu polskich literatów i Daniłowski.

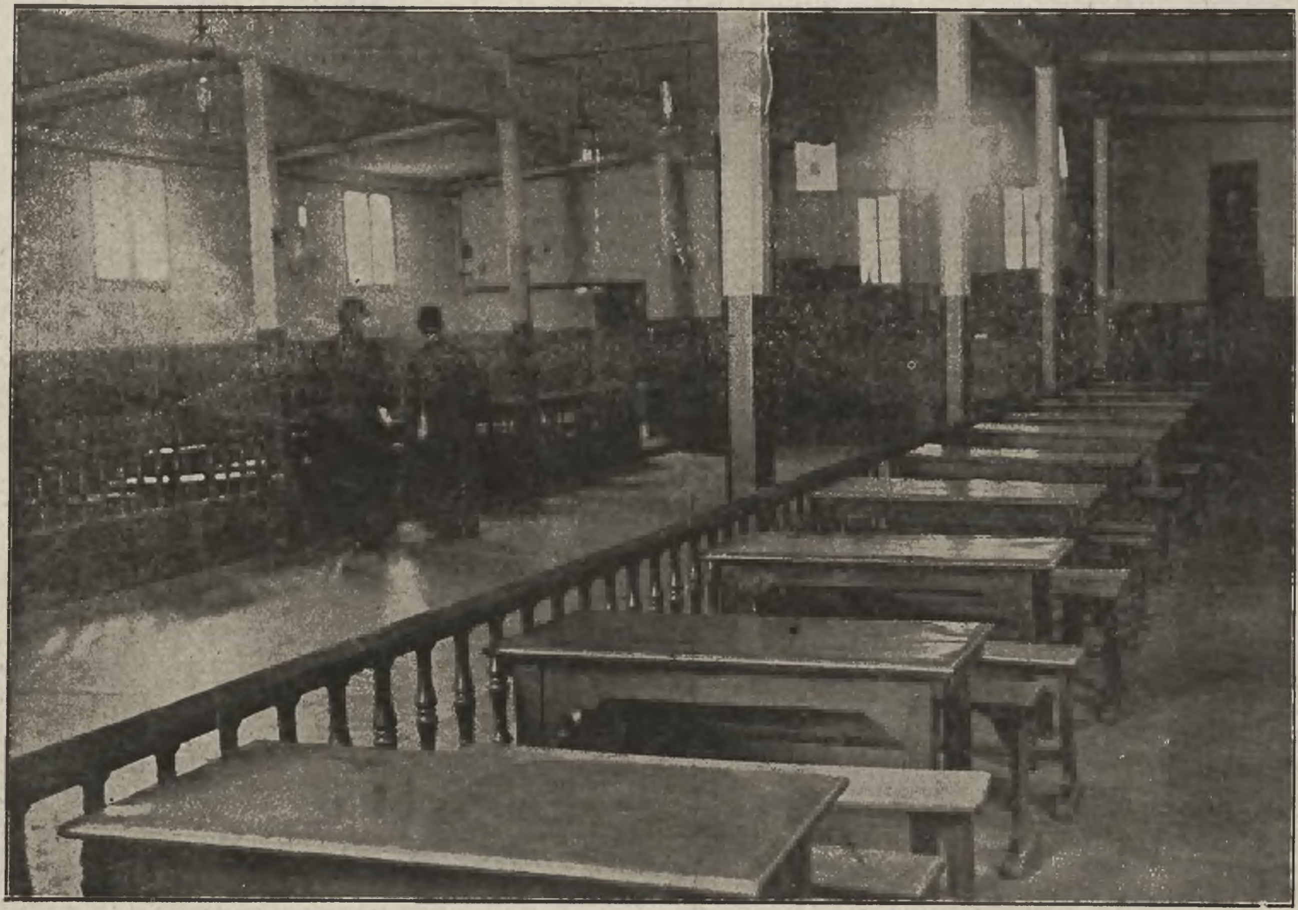
Obchód narodowy w Krynicy.

Krynica, „królowa wód polskich", przy końcu ubiegłego miesiąca obchodziła bardzo uroczyście setną rocznicę urodzin Juliusza Słowackiego. Zgromadzona licznie publiczność z trzech zaborów w tem zdrojowisku oddała solidarnie hołd wieszczowi, spiesząc o godzinie 9-tej rano do kościoła na nabożeństwo, podczas którego ks. Wiliński wygłosił porywające słuchaczy kazanie.

Wieczorem zaś w teatrze miejscowym artyści teatru lwowskiego odegrali „Złotą czaszkę". Uroczystość zakończona została „wieczorem jubileuszowym" w sali balowej Domu zdrojowego. Rozpoczął go pięknem przemówieniem znany poeta, p. Jan Pietrzycki — poczem nastąpiła część koncertowa.

Dochód z tego wieczoru przeznaczono w części na pomnik Słowackiego we Lwowie a w części na lecznicę dla biednych w Krynicy, która przez dzień cały była w dniu uroczystości przybrana we flagi o barwach narodowych.

Rycina nasza przedstawia piękny posąg wieszcza, który był ustawiony na podyum sali podczas „wieczoru jubileuszowego".



Zbiegowie rosyjscy w Paryżu: Sala zebrań towarzyskich kolonii rosyjskiej w Paryżu.

Z kolei przystąpiono do wyboru prezydyum, w skład którego weszli przedstawiciele młodzieży, zastępujący rozmaite stronnictwa polityczne. Po wyborach rozwinęła się dyskusya formalna, w której przedstawiciele krakowskiego stowarzyszenia młodzieży „Spójnia" założyli protest przeciw nadmiernej ilości delegatów z Krakowa i Lwowa. Popołudniu obradowała w dalszym ciągu komisya weryfikacyjna, poczem rozpoczęło się posiedzenie plenarne, w którem wzięli udział przedstawiciele prasy i grono literatów. W czasie nader ożywionej dyskusyi uchwalono, aby i publiczności, znajdującej sie na sali, udzielono prawa głosu; zajmowano się sprawami bardzo dla ogółu doniosłemi i powzięto wiele wniosków.

Po ukończeniu obrad część młodzieży udała się na nocną wycieczkę, zorganizowaną przez lwowski akademicki klub turystyczny, do doliny Strążyskiej.

W obradach drugiego dnia wzięła udział również bardzo liczna publiczność, między którą zauważono prof. dr. Tretiaka i dr. Doboszyńskiego z Krakowa i dr. Aszkenazego ze Lwowa. W przerwach odczytano nadeszłe od akademików czeskich telegramy, które przyjęto żywymi oklaskami. Poszczególne stronnictwa obradowały także osobno, poczem znów wieczorem zebrano się na posiedzeniu plenarnem.

Trzeci dzień obrad zajęła w dalszym ciągu dyskusya w sprawie założenia „Samopomocy"; nie doszło do porozumienia ze względu na różnicę zapatrywań delegatów. Wobec tego zjazd przeszedł nad tą sprawą do porządku dziennego, polecając tylko wybór delegatów, którzyby się zajęli sprawą założenia „Samopomocy". Ostatnim punktem obrad były wnioski i interpelacye, przyczem poruszono sprawę pogrzebu Słowackiego, poczem zamknięto obrady a dr. Orłowicz podziękował prezydyum za przewodnictwo. Przemawiał także Sieroszewski.

Illustracya nasza przedstawia prezydyum wraz z grupą uczestników Zjazdu na tle malowniczego zakopiańskiego krajobrazu.

Bronisław Wolfsthal.

Wyjazd kapelmistrza lwowskiej opery, p. Stermicza, dał sposobność młodemu jego za stępcy, utalentowanemu muzykowi, p. Bronisławowi Wolfsthalowi, do zaprezentowania się przed publicznością krakowską w roli kapelmistrza. Trudne i odpowiedzialne zadanie wypełnił p. Wolfsthal bardzo chlubnie, składając dowód wielkiej muzykalności i niezwykłej — mimo młodego wieku — rutyny.

Młody kapelmistrz, syn zaszczytnie znanego skrzypka i profesora konserwatoryum lwowskiego, p. Maurycego Wolfsthala, rozpoczął studya muzyczne pod okiem swego ojca, następnie zaś wyjechał do Wiednia, gdzie przez szereg lat kształcił się dalej, studyując grę na fortepianie w szkole znakomitego Leszetyckiego, teoryę zaś u prof. Sauera. Już wówczas próbował z wielkiem powodzeniem sił swoich na polu kompozycyi a dorobek młodego muzyka jest dziś już bardzo poważny. Z Wiednia wyjechał p. Wolfsthal do Berlina, gdzie uzupełnił swe studya, zwłaszcza w dziedzinie kapel-



Fot. E. Pierzchalski, Kraków.

Zjazd młodzieży polskiej w Zakopanem: Prezydyum Zjazdu wraz przewodniczącymi wszystkich komisyi i komitetem zjazdowym z drem Orłowiczem (X) na czele.

mistrzowstwa. Jako dyrygent nie jest Wolfsthal nowicyuszem, gdyż ma za sobą dłuższą praktykę, którą zdobył jako kierownik artystyczny lwowskiego chóru technickiego. Chór ten, znany we Lwowie z wielu występów, zdobył sobie pod batutą Wolfsthala bardzo poważne stanowisko.

Spodziewać się należy, iż powodzenie, jakie towarzyszyło młodemu muzykowi w dotychczasowej karyerze, nie opuści go i nadal, przeciwnie wzrośnie w miarę wzrostu zadań i pracy. Ma bowiem po temu wszelkie warunki. Ogromnie muzykalny, nadzwyczaj inteligentny, wykształcony fachowo bardzo wysoko, odznacza się przytem dużym temperamentem i przytomnością umysłu, co dla kapelmistrza jest rzeczą niezmiernej doniosłości.

Dowiódł tego na przedstawieniu „Pajaców“ Leoncavalla. Rzecz to wprawdzie nie nowa, teatr lwowski wystawiał ją niejednokrotnie, ale w przedstawieniu, którem dyrygował Wolfsthal, obsada była gruntownie zmieniona i aż pięciu solistów kreowało swe odpowiedzialne partye po raz pierwszy w ansamblu lwowskim. Mimo to przedstawienie to należało do najlepszych w sezonie.

Oby ten pierwszy występ w roli kapelmistrza opery stanowił dla p. Wolfsthala pomyślne *omen*.



Bolesna rocznica: Pomnik Kapuścińskiego i Wiśniowskiego we Lwowie.



Bronisław Wolfsthal.

Bolesna rocznica.

Rokrocznie święci polska ludność miasta Lwowa bolesną rocznicę stracenia dwóch bohaterów narodowych, Kapuścińskiego i Wiśniowskiego. Całem swem życiem, poświęconem narodowi polskiemu, udowodnili oni, jak gorąco ten naród ukochali, a śmiercią swą bohaterską, przed 63 laty w dniu 31 lipca, poniesioną na szubienicy, tę miłość Ojczyzny i wolności przypłacili.

Starsze pokolenie mieszkańców Lwowa pamięta jeszcze do dziś smutny ten dzień, pamięta chwilę strasznej egzekucyi na wzgórzu Kleparowskiem. A młodsze pokolenie, choć zna ją tylko z opowiadań, czci dzień pamiętny, jako dzień żałoby.

Rokrocznie gromadzi się w tym dniu kilkutysięczny tłum publiczności lwowskiej na wzgórzu tracenia, około pomnika, poświęconego pamięci obu bohaterów, a wzniesionego staraniem i kosztem ś. p. prezydenta Michalskiego. Pomnik ten jest w dniu żałobnym udekorowany zielenią i wieńcami, wieczór zaś oświetlony mnóstwem lampionów.

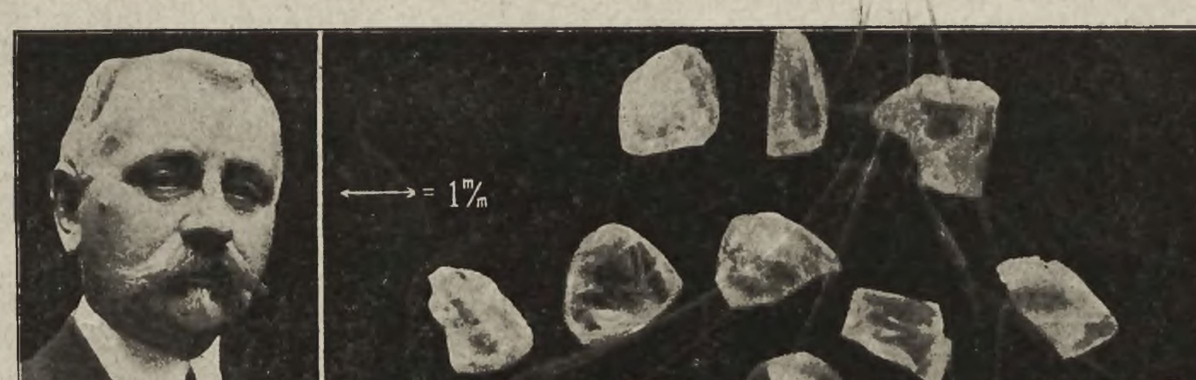
Po przemowach, które wygłaszają przedstawiciele młodzieży rękodzielniczej i akademickiej, śpiewa publiczność choralnie kilka pieśni patryotycznych, poczem w pochodzie udaje się do miasta.

Także i w tym roku odbyła się według zwyczaju ta poważna uroczystość narodowa i zgromadziła, jak zawsze, bardzo wiele publiczności.

Zdjęcie nasze przedstawia grono młodzieży rękodzielniczej pod pomnikiem na górze tracenia.



Obchód narodowy w Krynicy: Posąg Słowackiego, ustawiony na podyum podczas „wieczoru jubileuszowego“ w Krynicy.



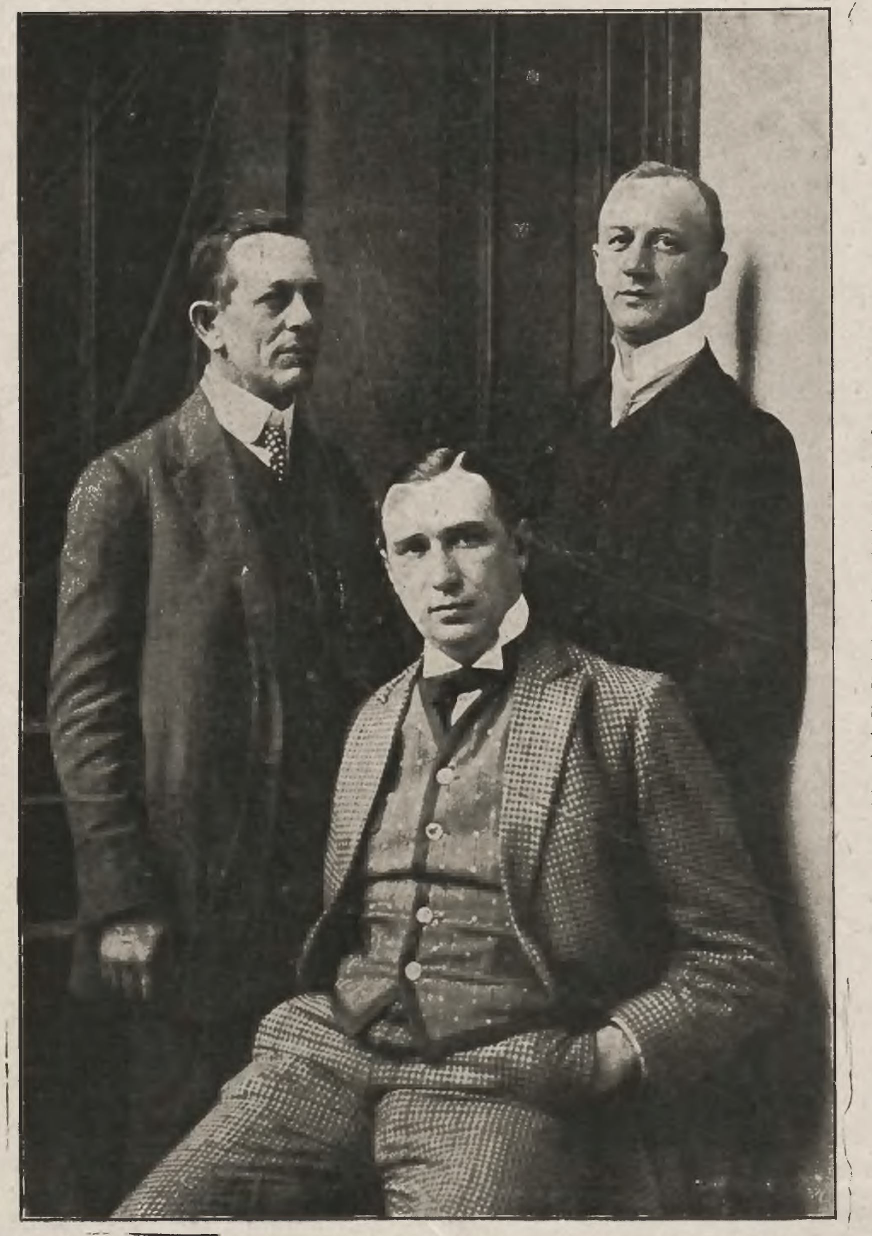
Sztuczne dyamenty: Wicehrabia de Boisvénu i uzyskane przez niego sztuczne dyamenty.
(Do artykułu na stronie 10).

Komicy operetki lwowskiej.

W składzie operetki lwowskiej, mianowicie w dziale charakterystyczno-komicznym, zaszły w ostatnich czasach dość znaczne zmiany. Ubył znakomity Lewicz, który poszedł gospodarować „na własnych

śmieciach“ w Poznaniu, ubył obecnie Krzewiński, który przeniósł się do dramatu w Warszawie — trzeba więc było zastąpić ich nowemi siłami, co nie było zbyt łatwem zadaniem, gdy się zważy, jak doskonałymi artystami byli obaj wymienieni komicy.

Dyrekcya lwowskiego teatru zaradziła jednak biedzie i stworzyła nowy ansambl komiczno-cha-



Komicy operetki lwowskiej: Ignacy Berski, Józef Zaremba, Eugeniusz Kalinowski.

rakterystyczny, który — jak dotąd — bardzo dobrze i dzielnie się spisuje. Zaangażowano mianowicie dwie nowe siły pp. Kalinowskiego i Zarembę, Berskiego zaś „przydzielono“ z dramatu do operetki.

Z wesołej tej i rozweselającej trójki pierwsze miejsce z alfabetu i z wieku należy się Berskiemu. Galicyanin z rodu, już jako młodzieniec poczuł powołanie do „fachu“ aktorskiego, który rozpoczął w Stanisławowie, w tamtejszym teatrze śp. Kwiecińskiego, a następnie Antoniewskiego. Ze Stanisławowa przeniósł się do Poznania, potem zaś tłukł się z prowincyonalnymi teatrami po królestwie i cesarstwie rosyjskiem z najrozmaitszymi dyrektorami, wrócił następnie znowu do Poznania, za dyrekcyi Rygiera, potem przez krótki czas bawił w Krakowie w teatrze ludowym Knake-Zawadzkiego, aż wreszcie utkwił na stałe w teatrze lwowskim, w którym pracuje już lat pięć. Przeszedł więc i przejechał Berski wiele w swem życiu, grał też bardzo wiele, bo i w dramatach i komedyach i farsach i operetkach, a zawsze w dziale charakterystycznym. Obecnie jest jedną z najlepszych sił operetki lwowskiej, tworząc w niej typy pełne komizmu naturalnego i szczerego, bez szarży, bez przesady.

Eugeniusz Kalinowski jest dobrym znajomym publiczności krakowskiej, gdyż występował tu przez szereg lat w teatrze ludowym. Zaangażowany przed rokiem przez dyr. Hellera do teatru lwowskiego, zdobył sobie wnet sympatyę wśród bywalców teatralnych, dzięki doskonałym warunkom i dużemu talentowi. Wybija się coraz bardziej, a kilka jego kreacyi, np. w „Mascocie“ lub w „Rozwódce“, zapewniło mu ogromne powodzenie.

Ostatni wreszcie z alfabetu, Józef Zaremba, przybył do lwowskiego teatru z Warszawy, także przed rokiem. Objął repertuar Lelewicza, którego godnie zastępuje, umiejąc tak samo, jak on, bawić publiczność, a nie mając — też tak samo, jak on — wielkiego głosu. Grę Zaremby cechuje naturalny humor, pełen spokoju i dystynkcyi, świadczący dobrze o artystycznych aspiracyach młodego tego aktora.

Wszyscy trzej są także i poza sceną bardzo sympatyczni i uprzejmi, to też Kraków lubi ich i ceni.

Karol Pasławski.

Jest jedną z najważniejszych postaci w gronie trupy opery lwowskiej, a mimo to publiczności prawie zupełnie nieznany. Bo pracuje na próbach, a podczas przedstawienia za kulisami. Jest mianowicie zastępcą reżysera opery i inspektorem sceny.

Aby działalność p. Pasławskiego poznać i aby ją ocenić, trzeba być koniecznie w czasie któregokolwiek przedstawienia opery za kulisami. Tam dopiero widzi się, jak ciężkie a jak niewdzięczne zadanie spoczywa na jego barkach. A aby je spełniać z takimi doskonałymi wynikami, trzeba mieć za sobą tyle lat pracy rzetelnej i sumiennej, tyle doświadczenia i rutyny, ile ich ma p. Pasławski, który przeszło trzydzieści lat żyje w teatrze.

Zawód swój rozpoczął we Lwowie, jeszcze za Dobrzańskiego, potem był w Gracu, skąd wrócił do Lwowa, aby wnet potem przenieść się do Warszawy, jako koryfeusz chórów i zastępca reżysera opery.

Od r. 1898 pracuje stale we Lwowie, zdobywając sobie coraz większe uznanie i sympatyę wśród artystów. Z operą przyjeżdża corocznie do Krakowa na sezon letni, przyczyniając się bardzo wydatnie do sukcesów i powodzenia lwowskiego teatru.

Podziwiać potrzeba spokój, z jakim spełnia swe niesłychanie ciężkie i denerwujące obowiązki. Mimo fatalnych nieraz braków, z jakimi reżyserya opery musi walczyć na obcej ostatecznie scenie, mimo obcego w części personalu technicznego i mimo trudności, jakie stąd wynikają, p. Pasławski nigdy się nie unosi, nigdy nie traci głowy, ani przytomności umysłu. Operę każdą umie na pamięć, zna każdą scenę od początku do końca, wie kiedy który artysta i którymi drzwiami ma wejść, wie co mają robić statyści. A to zadanie nie łatwe. Siłą więc jest p. Pasławski wprost nieocenioną.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 30.

Szarada: Potop.

Logogryf chemiczny: Olszewski.

Zadanie do przestawienia: Każdy ma swego mola, co go gryzie.

Łamigłówka Literacka: Walter Scott.

Logogryf: Czas płaci, czas traci.

Zadanie konikowe:

Szczęśliwa młodość, nawet smutki
Zaprawne ma rozkoszą,
Dzień szczęścia długi, żalu krótki,
Łzy ulgę jej przynoszą.
Szczęśliwa młodość, swe boleści
W słowiczym odda śpiewie,
I echem własnych skarg się pieści
I o swem szczęściu nie wie.

El...y.

Szarada: Salamina.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: L. Lemiszewski Kołomyja, M. Kościński Żarki, W. Rapacz Żarki, K. Fuchs Czeremchów, J. Ostersetzer Lwów, S. Lindenbaum Czerniowce, Z. Trzemeski Kielce, K. Jaskólski Warszawa, S. Krupski Łódź, F. Wolf Kraków, A. Dziewoński Przemyśl, H. Drzymuchowski Kraków, O. Lemański Warszawa, J. Rotter Rzeszów, H. Löwensohn Kraków, M. Bobrzyński Kraków, L. Reiter Stryj, B. Malicki Kraków, J. Jahoda Cieszyn, R. Lewicki Zakopane, F. Gebhardt Muszyna, J. Plaszecki Krynica, St. Zaremba Kraków, J. Łapiński Rzeszów, M. Osmulski Kraków, J. Kapliński Tarnopol, J. Pilecki Rzeszów, W. Weber Krosno, M. Potocka Kraków, J. Zabieszewski Bochnia, J. Rogoziński Lwów, M. Liskowacki Krosno, J. Wojciechowski i Z. Wiśniewski Lwów, B. Langer Kraków, J. Stepański Kraków, J. Dobrucki Kołomyja, M. Gabrysiewicz Ottynia, L. Babicki Kraków, J. Arnold Lwów, M. Sękowski Podgórze, S. Krzyżanowski Przemyśl, J. Germański Podwrłoczyska, M. Klappholz Rzeszów, J. Obst Tarnów, J. Romanowski Kraków, J. Tabor Rzeszów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał *F. Gebhardt Muszyna* i *Łapiński Rzeszów*. Upraszamy o nadesłanie 35 hal na koszta przesyłki.



Karol Pasławski.

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. Erwb Kraków: Umieścimy nadesłane zagadki w miarę miejsca. Drugi logogryf chemiczny jest może nieco za trudny.

WP. K. L. Lwów: Za nadesłane zagadki Redakcya nie płaci żadnego honoraryum.

WP. J. S. Z przysłanych nam poezyj nie możemy zrobić użytku, gdyż jak WP. musiał zauważyć, nigdy ich nie drukujemy.

WP. A. S. Warszawa: Bliższymi szczegółami służyć nie możemy.

Nadesłane.

Kącik humorystyczny.

Także powód.

— Czy słyszałeś, Kleksiński dostał stypendyum na wyjazd do Włoch?! Nie mogę pojąć, jak komisya mogła zrobić coś podobnego. Przecież to taki bazgracz! — zapytał jeden z malarzy spotkanego na ulicy kolegę.

— Całkiem prosta rzecz — odparł zagadnięty — on od członków komisyi napożyczał tyle pieniędzy, że wreszcie postanowili je od niego odebrać.

NADESŁANE.

Głosy publiczne!

Pół roku zaledwie minęło, gdy dwu młodych ludzi zawiązało spółkę wydawniczą: **„Wisła“ w Krakowie,** spółkę mającą na celu jednoczyć sztukę polską wszystkich trzech zaborów i wypierać z naszego polskiego kraju pruską tandetę i pornografię, które na rynkach polskich zajmowały dotychczas wyłączne prawo zbytu.

Zmieniło się to od czasu, kiedy spółka wydawnicza: „Wisła“ wystąpiła z przepięknemi a taniemi bardzo reprodukcyami obrazów najsławniejszych polskich malarzy i dała przez to możność nawet najuboższym warstwom zapoznania się z rozwojem polskiej sztuki i kultury artystycznej i zastąpienia obcej tandety wytworem przemysłu krajowego, polskiego.

Młodzi wydawcy, którymi są pp. A. Stolarski i W. Zapała nie zwrócili się po ukończeniu studyów do zwykłej u nas karyery urzędniczej, lecz zabrali się ochoczo do żmudnej pracy na polu krajowego przemysłu i swemi artystycznemi wydawnictwami dowiedli, że w rękach polskich nie powinna się ostać ani jedna obca pocztówka a zwł. pruska, gdy tak piękne a tanie pocztówki mamy wyrabiane w kraju!

Pocztówki: „**Wisła**“ są wszędzie do nabycia w cenie **14 hal. za sztukę.** Adres wyd.: **„Wisła“ Kraków, Karmelicka.**

Nadzwyczajne przygody reportera Józefa Rouletabille.

ZAPACH DAMY W CZERNI

napisał **Gaston Leroux.**

24 (Ciąg dalszy

Kamień ten dziwnym swym kształtem zwrócił uwagę Berniera, podniósł więc go i oglądając szedł dalej, gdy naraz potknął się i padł tak nieszczęśliwie, iż się nim przebił.

Argumentacya Rouletabille'a zaczęła wywierać na sędziego swój skutek. Poproszono doktora, by jeszcze raz zbadał ranę i sprawdził, czy mogła być zadana tym kamieniem. Wynik okazał się pomyślnym. Po sześciu godzinach badania nas bez przerwy i bez skutku, rozumowanie Rouletabille'a zwyciężyło.

Po wyjściu urzędników z salonu, pozostałem w nim sam z panią Edytą. Chwyciła mnie za rękę i potrząsając silnie, zawołała:

— O, niech mnie pan nie opuszcza! Nie opuszcza! Nikogo nie mam tylko pana. Nie wiem gdzie jest książę Galicz, nie mam też żadnych wiadomości od mego męża. On nie wie nawet, że zabito Berniera, poszedł szukać Tullia. Od tego „Kata morza“, od Tullia tylko oczekuję prawdy...

Od chwili, gdy mnie wzięła za rękę z taką ufnością, byłem jej oddany w zupełności i nie skrywałem, że może liczyć na moje poświęcenie. Zamieniliśmy tych kilka słów pocichu, gdy po dziedzińcu snuły się cienie urzędników w towarzystwie Rouletabille'a i Darzaca. Przy każdej sposobności Rouletabille rzucał okiem ku nam. Okno było otwarte.

— Oh! On nas pilnuje — rzekła pani Edyta. — Może jemu i panu Darzacowi przeszkadzamy, pozostając tutaj. Lecz miejsca tego nie opuszczę!

— Musimy być jednak wdzięczni Rouletabille'owi — ośmieliłem się wtrącić — za jego milczenie o najstarszej skrobaczce. Jeżeliby się sędzia dowiedział, że ten kamienny sztylet należał do starego Boba, któż może przewidzieć, na czemby sprawa stanęła?... A jeżeliby wiedział także, że Bernier oskarżył przed śmiercią Larsana?...

— Oh! — odparła z przekonaniem. — Pański przyjaciel miał tyle powodów do milczenia, co i ja! A obawiam się jednej tylko rzeczy, tak, jednej tylko rzeczy...

— Czego? — zapytałem. — Czego?

Podniosła się, drżąc cała:

— Lękam się, że dlatego tylko wybawił mego wuja z rąk policyi, by go potem zgubić zupełnie.

— Czyż pani wierzy w to?

— Tak, czytałam to w oczach jego... Jeżeli bym była pewna, że się nie mylę, wolałabym mieć do czynienia z policyą!...

Uspokoiła się trochę, a potem rzekła znowu:

— Zresztą trzeba być gotową na wszystko, a będę umiała go bronić.

Przy słowach tych pokazała mi mały rewolwer, który nosiła w kieszeni sukni.

— Ach! — zawołała — dlaczego księcia niema tutaj?

— Znowu on! — odpowiedziałem ze złością.

— A czyż pan istotnie gotów mnie bronić?

— Jestem gotów!

— Przeciw wszystkim?

Zawahałem się. Ona powtórzyła:

— Przeciw wszystkim?

— Tak.

— Przeciw swemu przyjacielowi?

— Jeżeli będzie potrzeba — szepnąłem, wzdychając.

— Wierzę panu. Pozostawiam pana tutaj na kilka minut. Będzie pan strzegł zamiast mnie, tych drzwi!

I wskazała na drzwi, za któremi spoczywał stary Bob. Potem oddaliła się. Dokąd szła? Wyznała mi to później! Biegła na poszukiwanie księcia Galicza! Oh, kobieto! Kobieto!...

W tej samej chwili do salonu wszedł Rouletabille i Darzac. Słyszeli wszystko. Rouletabille zbliżył się do mnie i oświadczył, iż był świadkiem mej zdrady.

— Oh, co za wielkie słowa! — odezwałem się. — Wiesz, że nie mam zwyczaju zdradzać kogokolwiek. Pani Edyta jest rzeczywiście godna pożałowania, a tobie jej nie żal!

— Ty znowu za bardzo jej żałujesz!

Zaczerwieniłem się po uszy. Byłem gotowy do wybuchu. Lecz Rouletabille przerwał mi:

— Chcę cię tylko prosić o jedną rzecz, jedną jedyną, a mianowicie, że cokolwiekby się stało... nie zwrócisz się z żadnem słowem ani do pana Darzaca, ani do mnie!...

— Nietrudna to rzecz — odparłem zirytowany i odwróciłem się do nich plecami.

W tej właśnie chwili sędzia wraz z *delegato* wychodził z Nowego Zamku i zawołał nas, gdyż śledztwo zostało skończone. Uznali śmierć Berniera za nieszczęśliwy wypadek i w tym duchu zredagowany został protokół. Opuszczali już fort. Rouletabille i Darzac odprowadzali ich. Oparty byłem o okno, oczekując powrotu pani Edyty, gdy naraz rozległ się ogromny huk. Domyśliłem się, że Rouletabille kazał zamknąć ogromną, żelazną bramę.

W minutę potem ujrzałem, jak biegnie ku mnie pani Edyta...

...Potem zjawił się Darzac...

...Potem Rouletabille, prowadząc pod rękę Damę w czerni...

XVIII.

Rouletabille i Dama w czerni weszli do Wieży Czworobocznej. Nigdy jeszcze nie miał Rouletabille miny tak uroczystej. Dama w czerni czyniła niesłychane wysiłki, by skryć uczucie przerażenia, jakie malowało się w jej błędnym wzroku. Robert Darzac szedł nachmurzony i z wielką powagą. Co najbardziej jednak przyczyniło się do naszego zdumienia, to zjawienie się ojca Jakóba, Waltera i Mattoniego. Wszyscy oni byli uzbrojeni w strzelby i stanęli przed wejściem do Wieży Czworobocznej, gdzie otrzymali rozkaz Rouletabille'a, by nie wypuścili nikogo. Pani Edyta, przerażona do ostatnich granic, zapytała Waltera i Mattoniego, którzy byli szczególnie jej wiernymi, co znaczy to wszystko, lecz ku memu zdziwieniu ci nie odpowiedzieli ani słowem. Podbiegła wtedy do drzwi, prowadzących do pokoju starego Boba i stając przed niemi z rozkrzyżowanemi rękami, jakby broniła tam wstępu, zawołała ostrym głosem:

— Co pan chce czynić? Przecież nie chce go pan zabić?

— Nie, pani — odpowiedział zimno Rouletabille. Będziemy go sądzili... A żeby mieć pewność, że sędziowie nie staną się katami, przysięgniemy nad zwłokami ojca Berniera, że pozostawimy tutaj wszelką broń, że żadnej nie zachowamy przy sobie.

I wprowadził nas do pokoju śmierci, gdzie matka Bernier jęczała nad ukochanemi zwłokami. Tam pozostawiliśmy rewolwery i złożyliśmy przysięgę jakiej zażądał Rouletabille. Pani Edyta chciała się opierać i zatrzymać swój rewolwer, w końcu jednak ustąpiła. Potem Rouletabille wziął pod rękę Damę w czerni, lecz zamiast skierować się do apartamentu starego Boba, jak tego spodziewaliśmy się, zwrócił się do pokoju, gdzie została odkryta osoba zbyteczna.

Wchodząc do dawnego mieszkania państwa Darzac, zastanowiliśmy się na widok leżącej na stole deski do rysowania, papieru, tuszu i miseczki z czerwoną farbą i pędzelkiem. Pośrodku stołu leżała najstarsza ludzka czaszka. Rouletabille zamknął drzwi na zasuwki i gdyśmy się z osłupienia jemu przypatrywali, zaprosił nas, byśmy usiedli.

Dokoła stołu rozstawione były krzesła, które zajęliśmy z pewnym lękiem. Jakieś tajemne przeczucie ostrzegało nas, że wszystkie te proste przyrządy do rysowania kryją w sobie zarodek jakiegoś strasznego dramatu. A czaszka z swą wystającą szczęką, zdawała się śmiać, jak stary Bob!

— Państwo widzą tutaj o jedno krzesło za dużo, co wskazuje na brak jednej osoby, mianowicie pana Rance'a, na którego nie możemy czekać dłużej.

— On może posiada w tej chwili dowód niewinności starego Boba, zauważyła pani Edyta, przestraszona temi wszystkiemi przygotowaniami. Pragnę użyć wstawiennictwa pani Darzac, byście panowie nie czynili nic przed przyjściem mego męża.

Pani Edyta mówiła jeszcze, gdyśmy na korytarzu usłyszeli jakiś szum, a potem uderzenia do drzwi i głos Artura Rance'a: „Otwórzcie! Przynoszę szpilkę z rubinem!“

Rouletabille otworzył drzwi.

— Artur Rance! — rzekł — wreszcie pan jest!...

Mąż pani Edyty był zrozpaczony:

— Co się nowego stało?... Znowu nieszczęście? Gdym zobaczył żelazną bramę zamkniętą i usłyszałem żałosny płacz, sądziłem, że zapóźno przybywam, że już odbyła się egzekucya starego Boba.

Przez ten czas Rouletabille zamykał drzwi na zasuwkę.

— Stary Bob żyje — rzekł — lecz ojciec Bernier jest już trupem! Proszę, niech pan usiądzie.

Artur Rance patrząc na przybory do rysowania, zapytał:

— Kto go zabił?

Wtedy dopiero spostrzegł, że jego żona jest tutaj i uścisnął ją za rękę.

— Bernier oskarżył przed śmiercią Larsana! odpowiedział Darzac.

— Chce pan przez to powiedzieć — przerwał Artur Rance — że oskarżył starego Boba? Nie zniosę tego! Mogłem sam wątpić o prawdziwości osoby naszego wuja, powtarzam jednak, że przynoszę szpilkę z rubinem.

Co miała znaczyć ta szpilka z rubinem? Przypomniałem sobie opowiadanie pani Edyty, że stary Bob wyrwał jej szpilkę tę z ręki, gdy go ukłuła, pytając, dlaczego nie chce przyjść na obiad. Lecz jakaż łączność mogła być między tą szpilką a awanturą starego Boba? Artur Rance nie czekał, aż go o to zapytamy, lecz sam nas poinformował, że szpilkę tę znalazł w ręku „Kata morza“, w chwili, gdy liczył duży zwitek banknotów, które otrzymał od starego Boba. Pieniędzmi tymi i szpilką zapłacił stary

uczony Tulliowi za przewiezienie go do groty Romea i Julii i za zachowanie w tajemnicy tej wycieczki.

Artur Rance kończył tryumfująco:

— Człowiek, który daje komuś w barce na morzu szpilkę z rubinem, nie może w tym samym czasie leżeć związany w worku w Wieży Czworobocznej!

— Skąd ci przyszło na myśl jechać do San Remo? zapytała go żona. Czyś wiedział, że Tulio tam się znajduje?

— Dostałem list anonimowy z jego adresem...

— To ja go panu przysłałem — rzekł spokojnie Rouletabille...

Po chwili dodał z wielką powagą:

— Cieszę się, że pan Artur Rance tak szybko powrócił. Jesteśmy więc w komplecie przy tym stole... wszyscy mieszkańcy fortu, dla których moje rzeczowe wykazanie możliwości zbytecznej osoby, może przedstawiać jaki interes? Proszę o uwagę!

Artur Rance zatrzymał go jeszcze:

— Co pan rozumie przez te słowa: wszyscy mieszkańcy fortu, dla których moje rzeczowe wykazanie możliwości zbytecznej osoby, może przedstawiać jaki interes?

— Rozumiem to grono osób, w którem możemy znaleźć Larsana.

Dama w czerni, która nie odzywała się wcale, podniosła się drżąca.

— Jakto? jęknęła... Larsan jest więc między nami?...

— Jestem tego pewny! odparł Rouletabille...

Nastąpiło milczenie, w czasie którego nie śmieliśmy spojrzeć na siebie.

Przyjaciel mój mówił dalej:

— Jestem tego pewny... myśl ta nie może panią zaskoczyć, gdyż wcale pani nie opuszczała!... Co zaś do nas, to myśl ta zjawiła się, gdyśmy wszyscy siedzieli przy śniadaniu na terasie z czarnemi okularami na oczach. Jeżeli wyłączę panią Edytę, to kto z nas nie odczuł wówczas obecności Larsana?

— Jest to pytanie, które można również zadać profesorowi Stangersonowi — odrzekł Rance. — Jeżeli tak zaczynamy rozumować, to nie widzę powodu, dlaczego niema między nami profesora Stangersona, który był obecny przy tem śniadaniu...

— Panie Rance! — zawołała Dama w czerni...

— Przepraszam najmocniej — tłomaczył się gospodarz domu — lecz pan Rouletabille uogólnia: wszyscy mieszkańcy...

— Profesor Stangerson w myślach naszych jest tak daleko od nas — mówił uroczyście Rouletabille — iż nie potrzebuję jego osoby... Chociaż profesor Stangerson żył tutaj przy nas, nigdy nie był „razem z nami“.

Spojrzeliśmy na siebie ukradkiem; myśl, że Larsan może być między nami, tak mnie przejęła, iż zapomniałem o danem przyrzeczeniu nie odzywania się do Rouletabille'a i odezwałem się:

— Ale na tem śniadaniu była jeszcze jedna osoba, której tu nie widzę...

Rouletabille rzucił mi gniewne spojrzenie.

— Jeszcze książę Galicz! Już ci mówiłem, czem jest zajęty książę... możesz mi więc wierzyć, że nie zajmuje się wcale nieszczęściami córki profesora Stangersona.

— Tak — podtrzymywałem swą uwagę — ale to nie jest rozumowanie!

— Istotnie, Sainclair, twoja gadanina przeszkadza mi rozumować.

Ostrość jego słów podnieciła mnie i zapominając, żem przyrzekł pani Edycie bronić starego Boba, zacząłem go oskarżać.

— Również i stary Bob był na śniadaniu, a ty go wyłączasz tylko z powodu tej szpilki z rubinem, która jednak nie dowodzi, w jaki sposób mógł on, jak sam twierdzi, wyjść z zamku przez studnię, gdyśmy znaleźli ją zamkniętą na zewnątrz.

— Pan! — zawołał Rouletabille w gniewie — to pan znalazł ją zamkniętą, ale ja ją znalazłem otwartą. Posłałem pana po wiadomości do Mattoniego i ojca Jakóba, a tymczasem zdążyłem stwierdzić, że była otwartą...

— I zamknąć ją! — dodałem. — Po co zamknąłeś studnię? Kogo więc chciałeś oszukać?

— Pana!

Słowo to wymówił z taką wzgardą, iż krew mi uderzyła do głowy. Podniosłem się. Wszystkie oczy były zwrócone na mnie i miałem straszne wrażenie, że wszyscy mnie podejrzewają. Ból i gniew wstrząsnęły mną.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył T. Smolecki, Gorlice.

Pierwsze i trzecie, piękne to zwierzęta
Prawdziwi, rzeknę człeka przyjaciele,
Rolnik też o nich nadzwyczaj pamięta,
Czesze i pieści, słomę onym ściele.
Drugie komendą w polskiem wojsku było
Lecz też tem mianem słup się także zowie.
Gdy się te zgłoski w porządku złożyło,
Treści szarady łatwo się już dowie,
Bo całość znaczy podziemne pieczary,
Kędy górnicy pracują bez miary.

Logogryf.

Ułożył W. Rapacz, Żarki.

Dobrać odpowiednie głoski, by powstały wyrazy, których środkowe litery, czytane z góry na dół utworzą imię i nazwisko zmarłego humorysty i powieściopisarza polskiego (Lwów).

— — □ — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— — — □ — —
— — — □ — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Bogini grecka. 2. Produkt Indyi Przedgangesowych (korzeń służący do przyprawy). 3. Ballada Bürgera. 4. Materya jedwabna. 5. Powieść T. Jeża. 6. Ułomność.

Szarada.

Ułożył J. K. Januszewski, Podgórze.

Pierwsze i drugie graczę loteryjni znają,
Drugie i trzecie zwykle pańskie dzieci mają,
A całość pewnie w każdym znajdzie się kościele,
Używają jej księża w święta i niedziele.

Logogryf.

Ułożył Bronisław Ertel, Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby szereg środkowy, czytany z góry na dół, dał imię i nazwisko polskiego historyka.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□
— □ —
— — □ — —
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Kwiat. 3. Legendowy zbój. 4. Bogini grecka. 5. Inaczej łyk. 6. Pierwiastek chemiczny. 7. Spółgłoska. 8. Miasto w Indyach. 9. Dopływ Dunaju na Węgrzech. 10. Naczynie służące do domowego użytku. 11. Starożytna broń. 12. Sławne miasto starożytne. 13. Znany metal. 14. Wykrzyknik. 15. Spółgłoska. 16. Bożek wiatrów. 17. Rodzaj dyni. 18. Inaczej niewola. 19. Rzeka w Rosyi. 20. Samogłoska.

Szarada.

Ułożył T. Smolecki, Gorlice.

Pierwsze i czwarte człek o czarnej duszy,
Któremu liczba jest życiem i światem.
Żaden go szczytny poryw nie poruszy.
Drugie i trzecie minerał, pozatem
Dodam, że w stanie płynnym go znajdują,
W Galicyi mają dużo z niego zysku;
Całość zaś ptaszek. Bardzo nam smakują,
Gdy się smażone znajdą na półmisku.

Arytmogryf,

Ułożył M. Kościński, Żarki.

W miejsce cyfr wstawić litery, by powstały cztery równobrzmiące wyrazy o podanem niżej znaczeniu.

c. d.
6 6
9 12
a. 1 2 3 4 5 6 2
1 2
b. 7 8 9 10 11 12 6
13 6
2 2

Znaczenie wyrazów: a. Starożytna moneta perska. b. Tytuł polski. c. Miasto w Hiszpanii. d. Stadyum w rozwoju żaby.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył W. Rapacz Żarki.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie: Raj, ceik, panie, kęs, hak, cep, Kamil.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Teodora Jeske-Choińskiego:* **„Po czerwonem zwycięstwie“.** Obraz przyszłości.